

CENA: 3 ZŁ

NR 82 LISTOPAD/GRUDZIEŃ 2010

ALEJE 3

DWUMIESIĘCZNIK KULTURALNY CZĘSTOCHOWY



Autoportret młodych

- str. 22

Maciej Kędziora
- alchemik rzeźby
- str. 14

Rozmowy:
Kossakowski - str. 17
Dagadana - str. 28

ISSN 1427-8812



Przemysław Kossakowski
„Córka Senatora”
akryl, płótno

Przemysław Kossakowski

Urodzony w 1972 roku w Częstochowie. Ukończył Liceum Plastyczne im. Jacka Malczewskiego i Wyższą Szkołę Pedagogiczną – Wydział Wychowania Artystycznego. Dyplom w zakresie grafiki artystycznej uzyskał w pracowni prof. Ryszarda Osadczego w roku 1999. Uprawia głównie malarstwo, które można określić jako postkoloryzm z elementami groteski. Tematy prac czerpie z literatury światowej, baśni oraz niecodziennych sytuacji, których ma okazję być świadkiem. W czerwcu 2010 prezentował swoje prace w częstochowskiej galerii Off Art.

Rozmowa z Przemkiem Kossakowskim

» STR. 17

SPIS TREŚCI

OD REDAKCJI	03
ALEJAMI NA SKRÓTY	04
TRUDNA SZTUKA VIDEO	06
CÓŻ TAM, PANIE, W KADRZE?	07
KINO NA TRZEPAKU	09
NIELEGAL MATEUSZA SZKOPA	11
POMNIK PERFORMERKI	12
ALCHEMIK RZEŻBY	14
ROZMOWA: KOSSAKOWSKI	17
MŁODA CZĘSTOCHOWA	22
ROZMOWA: DAGADANA	28
ARTEFAKT ZE SŁÓWEK I ŻYCIA	32
ARKADIUSZ FRANIA	33
MIEJSCA, LUDZIE, WYDARZENIA	37
HISTORIA - KOSTRZEWSKI	39

ALEJE3

Dwumiesięcznik Kulturalny Częstochowy

Pismo finansowane Przez Urząd Miasta Częstochowy

Wydawca:

Biblioteka Publiczna
im. dr. Wł. Biegańskiego w Częstochowie
Al. Najświętszej Maryi Panny 22
42-200 Częstochowa
Tel. 34 360-56-28
www.biblioteka.czyst.pl

Redakcja:

Al. Najświętszej Maryi Panny 22
42-200 Częstochowa
Tel. 34 360-56-28
aleje3@op.pl

Redaktor Naczelny:

Agnieszka Batorek
Tel. 691 567 962
abatorek@interia.pl

Opracowanie graficzne:

Tomasz Korzeniowski

Współpraca:

Julia Liszewska, Dominika Radkowska, Anna Dylewska,
Marian Panek, Adam Florczyk, Piotr Nita, Mateusz Szkop,
Rafał Salamucha, Waldemar Skrzypczyk, Arkadiusz Frania.

Zdjęcia:

Piotr Dłubak, Piotr Kras, Mateusz Zakłada, Robert Czyż

Skład i łamanie:

Krzysztof Klaus

Druk i oprawa:

Sowa – druk na życzenie
www.sowadruk.pl
tel. 22 431-81-40

Nakład 400 egz.

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, zastrzega sobie prawo do skrótów, adiustacji, redagowania nadsyłanych tekstów.

Okładka:

Przemysław Kossakowski, *Próba wejścia drugi raz do tej samej rzeki*, akryl, płótno.

Od redakcji:

Nieuchronnie zbliża się koniec roku, czas refleksji, podsumowań i rachunków sumienia. W ostatnim tegorocznym numerze postanowiliśmy oddać głos tym, których pracę zdarzało nam się niejednokrotnie oceniać, chwalić lub krytykować, młodym częstochowskim artystom, animatorom kultury i pracownikom instytucji publicznych. Przyznam szczerze, że mocno nas zaskoczył, a zarazem ucieszył pozytywny wydźwięk ich wypowiedzi. Owszem, pojawiają się tu i ówdzie symptomy rezygnacji i zniechęcenia, jednak przeważająca część naszych rozmówców patrzy w przyszłość z nadzieją i optymizmem. Są świadomi piętrzących się przed nimi trudności, znają doskonale lokalne realia, ale zarazem mają poczucie, że przyszłość życia kulturalnego Częstochowy zależy również od nich. Wystarczy konsekwentnie i wbrew wszelkim przeciwnościom robić swoje a *jeszcze będzie przepięknie, jeszcze będzie normalnie*, jak śpiewał swego czasu Tomek Lipiński z zespołem Tilt.

Oferta kulturalna naszego miasta wcale nie należy do ubogich. Pomysłowość nie brakuje i z realizacją jest już chyba lepiej. Instytucje publiczne coraz chętniej angażują młodych i niezależnych w duże miejskie przedsięwzięcia. Doświadczenie i zaplecze organizacyjne łączą się zatem z energią, kreatywnością i świeżością spojrzenia na kulturę i sztukę. Widać poprawę komunikacji między organizatorami różnych działań kulturalnych, a także między organizatorami a ich potencjalnymi odbiorcami. Dużą w tym zasługą informatora kulturalnego „Co, gdzie, kiedy” wydawanego przez Wydział Kultury i Promocji Urzędu Miasta. Nie wartościuje, nie selekcjonuje, tylko rzetelnie informuje o każdej akcji, koncercie, spektaklu - od imprez dużych i oficjalnych po te najbardziej niszowe. Komunikacja, współpraca, informacja - tak właśnie powinno to działać, tylko jeszcze sprawniej.

Mamy nadzieję, że również dzięki „Alejom” te działania są choć trochę bardziej widoczne. Dla nas był to rok ciężkiej, ale satysfakcjonującej pracy, choć nam samym trudno oceniać jej efekty. Być może umknęły nam jakieś wydarzenia godne uwagi, być może tym mniej istotnym poświęciliśmy jej zbyt wiele. Na pewno nie każdy nasz komentarz budził powszechny entuzjazm. Redakcja to żywy organizm, wypadkowa odmiennych gustów, poglądów, osobowości i temperamentów. Staramy się szczerze i otwarcie wyrażać nasze opinie, nie pretendując jednocześnie do miana wyroczni w jakiegokolwiek dziedzinie. Naszym celem jest skłaniać do myślenia, prowokować dyskusje, a przede wszystkim przybliżyć częstochowianom życie kulturalne naszego miasta. Warto mu się bowiem nie tylko uważnie przyglądać, ale i aktywnie w nim uczestniczyć. Jesteśmy o tym przekonani.

Redaktor Naczelna
Agnieszka Batorek

Tu można pytać o „Aleje3”: Cafe Belg (Al. NMP 32), Cafe Montmartre (Al. NMP 33), Księgarnia „Tania Książka” (ul. Focha 27/29), Klub Zero (Al. Niepodległości 11), Biblioteka Publiczna im. dr. Wł. Biegańskiego (Al. NMP 22)

**Pogubieni i odnalezieni
na IV Międzynarodowym
Przeglądzie Przedstawień
Istotnych „Przez dotyk”.**

Częstochowska jesień teatralna rozpoczęła się tradycyjnie premierą (w tym roku „Ferdynand” w reżyserii Bogdana Michalika) i ogólnopolskim (z akcentami zagranicznymi) przeglądem „Przez dotyk”. Dotykaniem teatrem AD 2010 przypadło na przełom września i października, pokazano 12 przedstawień, pod wspólnym szyldem - „Pogubieni”. Hasło przewodnie festiwalu, dostosowane corocznie do tematyki zaproszonych spektakli, w tym roku okazało się wyjątkowo trafnie dobrane. Pogubieni w życiu - jak bohater w sztuce „Griga” Teatru Nowego z Krakowa, czy bohaterowie kilku „z życia wziętych” scen w „Toksynach” łódzkiego Teatru Jaracza. Zagubieni w labiryntach uczuć w przedstawieniach: „Ślubuję ci miłość i wierność” Teatru im. Horzycy z Torunia, czy częstochowskich realizacjach: „Patrz, słońce zachodzi” i „Plaży”.

Najciekawsze jednak okazały się „pogubienia nieoczywiste”, bardziej zawoalowane, wplecione w zawirowania historii, tej bardziej współczesnej, jak w „Do piachu” Różewicza Teatru Provisorium, czy odległej - w „Stworzeniach scenicznych” Teatru Lubuskiego z Zielonej Góry. Oba wymienione powyżej przedstawienia pięknie zrobiono od strony plastycznej, scenograficznej. Provisorium bawi się grą światła i cienia, a gra ta metaforycznie składa w całość blaski i cienie wojennej rzeczywistości (akcja sztuki Różewicza dzieje się w czasie II Wojny Światowej) i wplecione w nie rozważania o człowieku. Urzekająco klimatyczna scenografia zbudowana jest w spektaklu „Stwo-

żenia sceniczne”, opowiadającego historię pięciu aktorek, zmagających się z ciężkim swym rzemiosłem w realiach XVII-wiecznej Anglii.

Ciekawym zbiegiem okoliczności jest to, że w spektaklu Provisorium (reż. Janusz Opryński i Witold Mazurkiewicz) grają sami mężczyźni, a w spektaklu teatru z Zielonej Góry (reż. Robert Czechowski) – wyłącznie kobiety. I to także oba te spektakle wyróżnia, na tle innych, w częstochowskim przeglądzie. Ale oprócz tego: wyjątkowo przemyślane podejście do granych sztuk, specyficzne „wycucie” tematu, precyzyjne dopracowanie szczegółów – w scenografii, kostiumach, niuansach gry aktorskiej. I to mnie chyba najbardziej przyciąga do teatru – perfekcja, która tworzy na scenie spójną całość, sprawiającą, że to co widzimy wydaje nam się nie tylko grą, udaniem, ale prawdą i naturalnością. W takich spektaklach można się zatracić, zagubić, ale dają nam one możliwość odnalezienia w sobie czegoś dawno zapomnianego, a przecież najważniejszego. Czegoś, czego nie można zobaczyć. **Julia Liszewska**

Nie ma Grania

Projekcją jednego ze sztandarowych dzieł radzieckiego kina eksperymentalnego z początków historii kinematografii, a mianowicie „Człowieka z kamerą” Dżigi Wiertowa (1929), zakończył się cykl filmowy „Nieme granie” w Café Montmartre. Jako, że stare kino z żywą taperką jest szczególnie bliskie naszym sercom, mamy nadzieję, że Granie powróci w tej czy innej postaci. Tłumy zgromadzone w Montmartre podczas ostatniego filmowego wieczoru wydawały się podzielać naszą sympatię i nadzieję, długo i donośnie oklaskując muzyków w osobach: Pawła Bąbelewskiego – instrumenty perkusyjne, Przemka „Marleja” Wosińskiego – bass, Pancho Dja – efekty dźwiękowe / efektor, Adama Rzepisko – perkusja i Macieja Korzeniewskiego – klawisze. **AB**

**Jesienne ożywienie
w Konduktorowni**

Siedziba Regionalnego Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych najwyraźniej rozkwita jesienią. Wernisaż goni wernisaż, w ostatnich tygodniach w Konduktorowni gościły prace Jacka Sztuki, Małgorzaty Stępiak czy Witolda Zaręby.

Odbyła się także charytatywna wystawa fotograficzna „Dla Nikoli” grupy Andeken. Podczas towarzyszącej jej aukcji można było nabyć prace grupy, zaś dochód przeznaczony był na rehabilitację chorej dziewczynki (szczegóły na stronie www.nikola.czest.biz). Wszyscy, którym zdarzy się przegapić jeden czy drugi wernisaż, mają jeszcze szansę uczestniczyć w finałach, które często bywają równie, a czasem nawet bardziej atrakcyjne niż otwarcia wystaw.

W międzyczasie można w Konduktorowni posłuchać naprawdę znakomitej muzyki. W ramach cyklu „Akustyczna Przestrzeń” w nastrojowym wnętrzu galerii rozbrzmiewa muzyka Lidki i Marcina Pospieszalskich, a także ich znakomitych gości, takich jak Janusz Yanina Iwański czy Tomas Celis Sanchez. Tutaj z recitalem wystąpiła wokalistka jazzowa, Grażyna Aguścik z towarzyszeniem brazylijskiego gitarzysty Paulinho Garcii, a także Jan Oberbek, znakomity gitarzysta klasyczny. Akustyka Konduktorowni nie sprzyja być może organizacji większych imprez muzycznych, wymagających solidnego nagłośnienia, ale klimatycznie jej wnętrza znakomicie sprawdza się jako miejsce występów bardziej kameralnych i wymagających skupienia.

Przyjemnie patrzeć (i słuchać) jak w Konduktorowni wstępuje nowe życie, a jeszcze przyjemniej w tym życiu uczestniczyć. **AB**

F o t o k l i m a t y

Początek listopada stał się w naszym mieście wielkim świętem fotografii i fotografów. W piątek 5 listopada w Pawilonie Wystawowym Muzeum Częstochowskiego miał miejsce wielki finał konkursu „Klimaty Częstochowy” organizowanego już po raz piąty przez Wydział Kultury i Promocji Urzędu Miasta Częstochowy pod patronatem miesięcznika „Press” oraz Bezpłatnego Informatora UMC „Co, Gdzie, Kiedy”.

Podczas tegorocznej edycji konkursu jury w składzie: Małgorzata Kozakowska, Patrycja Zubrzycka, Jacenty Dędek, Marcin Szpadrowski, i Włodzimierz Tutaj, po przejrzaniu nadesłanych 840 prac 140 autorów, do wystawy zakwalifikowało 37 prac 25 autorów.

Jury przyznało 6 równorzędnych wyróżnień, jedną nagrodę trzecią, po dwie drugie oraz dwie pierwsze nagrody. Grand Prix 5. edycji konkursu fotograficznego „Klimaty Częstochowy” przyznał Tomasz Tomaszewski – gość „Klimatów” oraz wystawy Grand Press Photo 2010.

Nagrodzone oraz wyróżnione prace można zobaczyć na stronie www.klimatyczestochowy.pl. Wystawę wszystkich zakwalifikowanych do konkursu fotografii można oglądać do 10 stycznia 2011 roku w Muzeum Pielgrzymowania przy Al. NMP 47.

W tym samym dniu pasjonaci fotografii mogli uczestniczyć w otwarciu wystawy finałowej konkursu Grand Press Photo eksponowanej w podziemiach D.H. Schott. Imprezy nie konkurowały ze sobą, odbyły się w różnych godzinach i znakomicie się uzupełniały. Konkurs Grand Press Photo organizuje miesięcznik „Press”. Wystawa pokonkursowa gościła już w tym roku w Warszawie, Białymstoku, Poznaniu, Gdańsku, Krakowie, a od piątku 5 listopada można ją oglądać w Częstochowie. W piątkowym wernisażu w Teatrze S uczestniczyli m.in. przewodniczący Parlamentu Europejskiego Jerzy Buzek, a także Tomasz Tomaszewski - autor Zdjęcia Roku. Wystawa prezentuje 160 zdjęć autorstwa 52 fotoreporterów z całej Polski. Pozostanie w Częstochowie do 14 grudnia. **AB**



Klimaty Częstochowy, Grand Prix, Kamil Pawlik, Zebra

Oto lista laureatów konkursu:**Grand Prix oraz 2000 zł**

- Kamil Pawlik, „Zebra”

I nagroda w kat. „Fotografia Klimatyczna”

- Agata Kasperek, „Złote Aleje”

I nagroda w kat. „Fotografia Reporterska”

- Jakub Stolecki, fotografia z cyklu „Kominiarze”

II nagroda w kat. „Fotografia Klimatyczna”

- Joanna Urban, „Zatopione osiedle”

II nagroda w kat. „Fotografia Reporterska”

- Jarosław Respondek, fotografia z cyklu „Rugby”

III nagroda w kat. „Fotografia Klimatyczna”

- Magdalena Cudna, „Walka z czasem”

Wyróżnienie w kat. „Fotografia Klimatyczna”

- Kaja Kamińska, „Widok z okna”

Wyróżnienie w kat. „Fotografia Klimatyczna”

- Marcin Opalczyński, fotografia z cyklu „14 klatek”

Wyróżnienie w kat. „Fotografia Klimatyczna”

- Magdalena Sikorska, „Magiczny Park Staszica”

Wyróżnienie w kat. „Fotografia Reporterska”

- Sebastian Adamus, „Sacrum”

Wyróżnienie w kat. „Fotografia Reporterska”

- Michał Niedbał, „Trening MMA”

Wyróżnienie w kat. „Fotografia Reporterska”

- Jakub Stolecki, fotografia z cyklu „Kominiarze”

Trudna sztuka VIDEO

Adam Florczyk

Można dziś zadać sobie pytanie, czy istnieje video-art po śmierci video? W końcu sztuka video wyrosła w olbrzymim stopniu z fascynacji standardem VHS, jego możliwościami i powszechnością. Z jednej strony był to zachwyt nad możliwościami nowego medium, a z drugiej forma artystycznego sprzeciwu wobec połączania go przez popkulturę. A dziś VHS jest już dawno zapomnianym anachronizmem, który wypadł z wyścigu o dusze konsumentów. Liczą się coraz nowsze technologie, które też coraz mocniej wstają w tkankę sztuki. Od lat 70tych, gdy video-art zaczynał rozkwitać, totalnie zmieniła się rzeczywistość. Dziś, np. dzięki telefonom komórkowym, właściwie każdy ma kamerę video w kieszeni. W związku z tym nasuwa się pytanie: czy sztuka video jest nadal aktualna i przede wszystkim czy nadal jest tym samym, czy może ewoluowała w jakieś zupełnie nowe formy.

Te pytania, co prawda, nie padły wprost podczas **video warsztatów, 29 października w Regionalnym Ośrodku Kultury**, ale między słowami były wyraźnie obecne. Prowadzący, **Krzysztof Jurecki**, znany fotograf, historyk sztuki i pedagog, postawił na strategię: zanim zrozumiesz, najpierw musisz poznać. Zaprezentowany przez niego autorski wybór współczesnej polskiej sztuki video, dość trafnie nakreślił dzisiejszy horyzont tego gatunku. Pokazał jak pięknie rozlał się on po sztukach wizualnych i jak nieustannie

wchodzi w dialog z performance, instalacjami, sztuką interaktywną itd. To rzadka okazja, móc zobaczyć za jednym zamachem ponad dwadzieścia prac tak odmiennych stylistycznie, kontekstowo, technicznie i jakościowo. I to, pomimo iż prowadzący sam przyznał, że w kręgu jego zainteresowań najważniejsze miejsce zajmują sztuki eksplorujące pogranicza video i fotografii. Wybór miał zatem swój jasno sprecyzowany klucz, lecz nie stracił nic na różnorodności.

Na szczególną uwagę zasługiwały z pewnością filmy jednego z najbardziej znanych polskich performerów, Arti'ego Grabowskiego. „Człowiek@pl/Man@pl”, praca na styku sztuki video i performance'u, choć krótka (28 sek.) i oparta na prostych środkach (szybki montaż zdjęć reklamowych, billboardów i figury artysty wkomponowanego w billboard), to celnie opisuje uwikłanie współczesnego świata w reklamę. W ROK'u można było także zobaczyć video dokumentację jednego z najsłynniejszych performerów Grabowskiego, czyli „Oktoberfest”, podczas którego spożywa on uroczystą kolację w chlewie i w towarzystwie świń. Do nurtu video performance można też z pewnością zaliczyć „Ćwiczenie łączy energetycznego/Lesson of Energetic Junction” oraz „Łączenie emanacji/Unique of Emanation” Marka Rogulskiego. Znany trójmiejski artysta, podążając w nich szamańskimi ścieżkami, szuka porozumienia z siłami przyrody i zasad rządzących pierwotną energią.

Interesujący mariaż sztuki video z bodyartem można było natomiast znaleźć w pracach Wiktora Polaka „Nie można oddychać zającem” i „Zabawka”. Spotkanie ludzkiego ciała z dziećcykami, dmuchanymi zabawkami przebiega tam w mocno organicznym duchu. Gdzieś na granicy fetyszu, erotyzmu. Natomiast „Istota/Being” Anny Orlikowskiej to modelowy przykład wykorzystania sztuki video w instalacji, gdzie film/ ekran stanowią tylko część artystycznej strukturyzacji przestrzeni. „Film o robakach”, tej samej artystki, to z kolei bardzo interesująca próba estetyzacji obiektów/ stworzeń powszechnie utożsamianych z brzydotą. W ujęciu kamery, przy dobraniu odpowiedniego podkładu muzycznego, tracą one nagle swoje negatywne konotacje estetyczne i tworzą wzorzysty, dekoracyjny ornament. Pytanie o naturę piękna zostaje otwarte, a dodatkowo całość nawiązuje do tradycji *action painting*.

O istocie funkcjonowania video-artu w ramach sztuki nowych mediów, można było się przekonać z kolei podczas prezentacji prac Michała Brzezińskiego. Zarówno jego „Pasja” jak i „Pamięć” zbudowane są na bardzo prostym geście. Artysta wpisał tytułowe słowa do przeglądarki graficznej Google, a z wygenerowanych obrazków stworzył sugestywną, wizualną ekspresję. Również w kontekście komputerowym zanurzone są prace Mirosława Rajkowskiego oraz Mateusza Pęka. Ten pierwszy porusza się na po-

graniczu grafiki komputerowej i współczesnej muzyki elektronicznej („Radom Fantom”, „Motus”), a drugi chce zajrzeć pod skórę tego nowego medium badając specyfikę grafiki 3D oraz estetykę gier komputerowych („Life as a problem – machinima”, „Backspece”).

To było naprawdę bardzo intensywne spotkanie z najnowszą polską sztuką video. Podczas prawie dwugodzinnego pokazu, oprócz dzieł wyżej wymienionych artystów, można było zobaczyć jeszcze filmy Agnieszki Chojnackiej, Marka Zygmunta, Katarzyny Majak oraz Leszka Żurka. Wszystkie one wymagały od widzów wytężonej uwagi i pełnego skupienia. Trzeba było porzucić przyzwyczajenia narosłe wokół nas w wyniku ciągłego kontaktu z popkulturowym materiałem filmowym, co wcale nie jest prostym zadaniem. Dlatego przydałoby się więcej takich warsztatów ze sztuki współczesnej.

Pozostaje jednak pytanie o sens organizowania tego typu spotkań, przy takich problemach z frekwencją? Polską sztukę video odkrywaliśmy w ROKu w sześć osób. Naprawdę trudno mi uwierzyć, że w prawie ćwierć milionowym mieście jest tylko tyle osób zainteresowanych twórczością najnowszą. Niestety te ciekawe video warsztaty stały się kolejną ofiarą tak powszechnego w Częstochowie „lekkiego podejścia do promocji wydarzeń kulturalnych”. Sam dowiedziałem się o tym wydarzeniu w ostatnim momencie. A bez solidnej promocji nie uda się zaszczepić w mieście zainteresowania sztuką współczesną, nawet gdy będą przyjeżdżać najciekawszy prelegenci z najciekawszymi tematami.

Cóż tam, panie, w kadrze?

Mateusz Szkop

Za nami 11 edycja konkursu na amatorski film video „Częstochowa w kadrze” organizowany przez Ośrodek Kultury Filmowej. W tym roku jury, któremu przewodniczył operator i reżyser Jacek Bławut, postanowiło nie przyznawać pierwszej nagrody. Gest ten, choć dosyć często spotykany w przeróżnych konkursach, w tym wypadku wydał mi się bardzo symptomatyczny i znaczący. Odpowiadał bowiem poziomowi konkursu, który nie był niestety najwyższych lotów.

Nie rozchodzi się jednak o poziom nadesłanych filmów, które z góry skazane są na okupowanie przedsionków sztuki filmowej z racji samego wyrazu „amatorski” w nazwie imprezy. Odnoszę wrażenie, że z tak skonstruowanym regulaminem „Częstochowa w kadrze” sama sobie nie pozwala rozwinąć skrzydeł, aby stać się imprezą bardziej rozpoznawalną w Polsce. Wracając jednak do poprzedniego zdania, słaby poziom merytoryczny filmów nie jest regułą i zdarzają się tu wyjątki. Jednak w przypadku większości obrazów, ich pozytywna ocena uzależniona jest od doszukiwania się pozytywów lub typu selekcji, którego kryterium stanowi jak najmniejsza ilość błędów formalnych popełnionych przez młodych twórców.

U tegorocznych laureatów, którzy zdobyli nagrody za trzecie i drugie miejsca, również można zastosować ten klucz i „za coś” ich pochwalić. Przede wszystkim za włożony wysiłek i pracę. Za to, że każdy z nich miał coś do powiedzenia i wpadł na pomysł jak tego dokonać. Niestety gorzej już z realizacją tego pomysłu. I choć np. „Miasto Częstochowa” Jakuba Dunala, które otrzymało również nagrodę Gazety Wyborczej, jest bardzo sprawnie i kunsztownie zrealizowanym obrazem, to za pół roku nikt już o nim nie będzie pamiętał. Chyba, że nasze miasto zakupi go i wyświetlać będzie jako swój spot reklamowy, bo w zasadzie właśnie tym był film Dunala - dobrze wykonaną wizytówką miasta.

Organizatorzy „Częstochowy w kadrze” podkreślają w regulaminie, że nadsyłane filmy muszą nawiązywać do naszego miasta i że zależy im na uzyskaniu oryginalnych, autorskich wypowiedzi na temat życia jego mieszkańców. To bardzo ciekawy i krzepiący pomysł, tym bardziej, że wiele konkursów oscyluje właśnie wokół konkretnego lejtmotywu, co pozwala na uzyskanie różnych wariacji i punktów widzenia na dany temat. Gorzej jednak, kiedy ten temat przez lata pozostaje wciąż taki sam. Ktoś po-



wie: „ale przecież czas płynie, a miasto się zmienia”. I będzie miał rację. Nie zmienia się natomiast jedno, w kadrze konkursowych filmów wciąż przewijają się te same wytarte motywy - Jasna Góra, Aleje, dworzec PKP, „aleja frytkowa”. Niektórzy specjalnie modyfikują fabuły tak, aby pojawił się w nich jeden z tych elementów, a film dopuszczony został do konkursu. Wycisnąć z tego miasta coś więcej, opowiedzieć oryginalną historię, sportretować bohaterów dnia codziennego nie popadając przy tym w banał, pobawić się cytatami i znaczeniami, zaskoczyć innym punktem widzenia, czyli wszystko, co organizatorzy chcieliby uzyskać dzięki temu punktowi w regulaminie, zabijają punktem następnym, nie dopuszczając do konkursu chociażby studentów szkół filmowych.

„Częstochowa w kadrze” jest bowiem konkursem skierowanym do amatorów i „nie mogą brać w nim udziału zawodowi twórcy, absolwenci lub studenci szkół filmowych”. Mam wrażenie, iż organizatorzy boją się mieć cokolwiek wspólnego z dobrymi, ciekawymi filmami. Przecież nie każdy wykształcony w tej dziedzinie człowiek, to twórca blockbustów kinowych, a „szkoła filmowa” jest terminem, na który składają się nie tylko kierunki takie jak reżyseria, ale również fotografia, pisanie scenariuszy, montaż, produkcja, wiedza o filmie, nie mówiąc już o wszelkich doszkalających kursach.

Jeśli te dwa punkty regulaminu częstochowskiej imprezy nie ulegną zmianie lub jeśli nie zostaną sprecyzowane, nie wydaje mi się, aby poziom konkursu mógł kiedykolwiek wzrosnąć. Zasada, że pokazujemy tylko to, co nasze lub z nami związane, premiuje takie laurki, jaką zrobił Jakub Dunał - ob-

razy niewnoszące do dyskusji wokół filmu absolutnie nic nowego. Zasada ta zamyka również konkurs dla twórców z innych miast, izoluje i alienuje nas i chociaż nie czyni tego na mocy definicji, to w praktyce oznacza brak zainteresowania z zewnątrz. To tak samo, jakby ktoś z mieszkańców Częstochowy spieszył na konkurs tematyczny o Sieradzu lub Siewierzu. Brzmi zachęcająco? Wątpię. Moja sugestia? Stematyzować konkurs tak, aby co roku kręcił się wokół innego lejtmotywu. Wprowadziłoby to żywą, konstruktywną dyskusję dotyczącą zarówno warsztatu filmowego jak i poruszonego tematu oraz otworzyłoby nas na twórców z innych regionów Polski. Nazwa konkursu wcale nie musi obligować do konkretnych lokalnych asocjacji. Wszak film Bartosza Dzikowskiego „Poloki”, nagrodzony podczas tej edycji, również takich akcentów nie posiadał.

Skoro już organizatorzy koniecznie chcą kogoś z konkursu wykluczyć, to wyrażenia „profesjonalista” i „szkoła filmowa” wymagają jasnego i wyczerpującego doprecyzowania. Może, wzorem konkursów literackich, gdzie kryterium dopuszczającym jest często ilość publikacji książkowych, należałoby amatorskość filmowców mierzyć ilością realizacji filmowych czy telewizyjnych? Znając jednak skalę trudności takiego przedsięwzięcia, proponowałbym w zamian posunięcie daleko bardziej odważne i rewolucyjne, a mianowicie całkowitą rezygnację z dyskryminowania ludzi ze względu na wykształcenie i przyczepiania im łątek amatorskości lub profesjonalizmu. Wystarczającym regulatorem jest, moim zdaniem, czas trwania filmu (maksymalnie 10 min.) oraz nagrody pieniężne (maksymalnie 3.000 złotych). Naprawdę wątpię, aby pracujący

w zawodzie reżyser filmowy czy telewizyjny chciał wystartować w naszym konkursie tylko dlatego, że pozwalałoby mu na to regulamin. Natomiast wszyscy studenci lub absolwenci szkół filmowych, którzy w przyszłości może i zostaną zawodowcami, gdzieś przecież muszą stawiać pierwsze kroki. Dlaczego nie mieliby tego robić na naszym konkursie, jednocześnie windując jego poziom i rozślawiając jego imię?

Podsumowanie XI edycji konkursu na amatorski film wideo „Częstochowa w kadrze”.

Filmy konkursowe oceniało Jury w składzie: Jacek Bławut – przewodniczący, Ireneusz Kozera, Janusz Mielczarek, Tadeusz Piersiak, Mariusz Jaśkiewicz, Jacek Duś.

Trzy równorzędne nagrody III:

Anna Kmieciak
za film „Łowczyni pereł”

Marcina Króliszewski
za film „Pasja wspinania”

Jakub Dunał
za film „Miasto Częstochowa”

Dwie równorzędne nagrody II:

Kacper Zięba,
autor filmu „Białe koszule”
za wrażliwość i poetyckie spojrzenie na trudne wybory, stojące przed młodymi ludźmi

Bartosz Dzikowski,
autor filmu „Poloki” za stworzenie bolesnego w swej prawdziwości obrazu polskiej emigracji w Londynie

Jury zdecydowało się nie przyznawać pierwszej nagrody.

Nagroda Gazety Wyborczej przypadła w udziale Jakubowi Dunałowi za film „Miasto Częstochowa”.



fol. Mateusz Zakłada, www.zaklada.com

„Kino na trzepaku” - akcja terenowa Stowarzyszenia Pedagogiki Alternatywnej w Częstochowie.

z **Karoliną Borecką**
rozmawia **Julia Liszewska**

Kiedy powstało Stowarzyszenie Pedagogiki Alternatywnej? Czym się zajmuje?

Karolina Borecka: 18 grudnia 2007 roku Stowarzyszenie zostało wpisane do Krajowego Rejestru Sądowego, praktycznie działa od stycznia 2008 roku. Stowarzyszenie powstało z inicjatywy 4 osób - przyjaciół, wówczas studentów AJD (kierunek - pedagogika): Karoliny Rakocz, Anny Pyrkosz (wtedy Kowolik), Michała Boreckiego i Karoliny Boreckiej (wtedy Bełkot).

Stowarzyszenie działa na rzecz dzieci i młodzieży zagrożonej wykluczeniem społecznym, ze szczególnym

uwzględnieniem dzieci spędzających większość czasu na ulicy (pedagogika ulicy). Stowarzyszenie do tej pory zrealizowało projekty uliczne: „Esy floresy - uliczne ekscesy”, „Moje podwórko - mój świat”, projekt fotograficzny „Głos dziecka AD 2008”, z którego powstał piękny album ze zdjęciami przedstawiającymi świat widziany oczami dziecka, Międzyświatlicowy Turniej Piłki Nożnej, konferencję: „Alternatywne metody pracy z dziećmi i młodzieżą” oraz „Kino na trzepaku”.

Stowarzyszenie jest członkiem Ogólnopolskiej Sieci Organizacji Streetworkerskich OSOS oraz Śląskiego Forum Organizacji Pozarządowych KAFOS.

Obecnie w Stowarzyszeniu czynnie działa 7 osób - 6 z nich jest certyfikowanymi pedagogami ulicznymi, siódma osoba jest w trakcie szkolenia. Szkolenie z zakresu pedagogiki ulicy co roku, od roku 2006, organizuje Fundacja „Wspólna Droga” - United Way Polska z Warszawy.

Kto wpadł na pomysł akcji „Kino na trzepaku”? Na czym ona polega?

K.B.: Pomysł „Kina” zrodził się podczas dyżurów streetworkerskich. Na wielu częstochowskich podwórkach w czasie wakacji nic się nie działo. Poprzez akcję „Kino na trzepaku” chcieliśmy ubarwić wakacyjną rzeczywistość dzieciątkom ze Śródmieścia.

W tym roku zorganizowaliśmy „Kino” już po raz drugi. W ubiegłym roku Stowarzyszenie otrzymało na ten cel dotację z Fundacji J&S Pro Bono Poloniae w ramach Konkursu Grantowego Aktywna Wiosna (zdobyliśmy 1 miejsce na 516 na-

desłanych wniosków i otrzymaliśmy dotację w wysokości 6.111 zł). Zakupiony został sprzęt: projektor, głośniki, wzmacniacz oraz filmy i materiały plastyczne, opłaciliśmy ZA-ikS. W tym roku „Kino” otrzymało dotację z Urzędu Miasta Częstochowa - cały projekt zrealizowano za 1.500 zł. Tegoroczne „Kino na trzepak” jest więc kontynuacją działania podjętego przez Stowarzyszenie w roku 2009 Odbiorcami projektu są mieszkańcy kamienicy częstochowskiego Śródmieścia. Jeden seans odbył się w dzielnicy Raków, ponieważ w przyszłym roku to właśnie tam chcemy zorganizować „Kino”.

W ramach „Kina na trzepak” zorganizowano 9 akcji na 9 różnych podwórkach (Garncarska, Warszawska, Mokra, Mała, Krakowska, Dom Księcia przy Al. Wolności, Limanowskiego, Al. NMP 2, Ogrodowa). Seanse odbywały się raz w tygodniu. Na tydzień przed seansem, na wytypowanym uprzednio podwórku pojawiali się realizatorzy (2 - 3 osoby), którzy rozmawiali z mieszkańcami o planowanym przedsięwzięciu.

W ramach seansu wyświetlany był jeden film. Autorzy projektu zobowiązali się do wybrania takich filmów, które niosą pozytywne wartości oraz mają znaczenie edukacyjne, a jednocześnie były doskonałą rozrywką, zarówno dla dzieci jak i dorosłych mieszkańców kamienicy. Wszystkie wyświetlane filmy były filmami oryginalnymi zakupionymi przez Stowarzyszenie. Na czas trwania projektu wykupiona została również (jak w roku ubiegłym) licencja ZaiKS.

Przed każdym seansem organizowane były około 2-godzinne zajęcia integracyjno - zabawowe skierowane przede wszystkim dla młodszej części społeczności danego podwórka, ale pozwalające na włączanie się w nie również dorosłych. Dzięki temu mieszkańcy mieli możliwość lepszego zapoznania się z wolontariuszami akcji, a co za tym idzie - działania w miłej, przyjaznej atmosferze. Do animacji czasu wolnego wykorzystano takie atrakcje jak gry i zabawy z chustą animacyjną KLANZA, zajęcia plastyczne, warsztaty jo-jo, warsztaty robienia dużych baniek mydlanych, pokazy breakdance, maty taneczne, frisbee, skakanki, zośki i gummy do skakania.

Jednym z założeń twórców Kina na trzepak było szerzenie idei wolontariatu, dlatego też projekt w całości był obsługiwany nieodpłatnie przez członków Stowarzyszenia oraz wolontariuszy.

Po zrealizowaniu 9 seansów „podwórkowych” zorganizowano mini festyn, który był okazją do poznania się mieszkańców z różnych podwórek oraz podsumowania całej akcji. Mini festyn odbył się na początku września.

Podsumowaniem całej akcji było spotkanie w herbaciarni Cafe Belg, połączone z wystawą zdjęć autorstwa Piotra Krasa oraz Mateusza Zakłady. Była to również okazja do spotkania się wszystkich zaangażowanych w ten projekt osób - członków Stowarzyszenia, wolontariuszy, sponsorów.

Jakie macie plany na przyszłość?

K.B.: Hmm.. pomysłów jest wiele. Przede wszystkim chcemy rozwijać idę pedagogiki ulicy oraz promować działania w środowisku otwartym w Częstochowie. Przymierzamy się do kilku projektów na przyszły rok, część jest już napisana i czeka na rozstrzygnięcie, część jest w fazie tworzenia. Chcemy rozpocząć działania uliczne na Rakowie. Być może uda nam się zorganizować warsztaty breakdance dla dzieciaków, które brały udział w tegorocznym „Kinie”. No i oczywiście „Kino na trzepak 2011”.

Dziękuję za rozmowę.

NIELEGAL *Mateusza Szkopa*

Piotr Nita

Na pierwsze strony „Czasem słońce, czasem dres” szturmem wdarła się częstchowszczyzna z całym jej pątniczym kramem. Autor, Mateusz Szkop, nie ukrywa swojego krytycznego nastawienia do „religijno odpustowej cepelii”, „kolorowego panopticum tandety” i „sakralnej kamasutry” - to tylko niektóre perełki z prologu. Jednak właśnie te przesłanie w pierwszej kolejności eksponuje na stronach swojej książki, właśnie nimi wciąga czytelnika w głąb fabuły. Szczęśliwie trend „na rozsierzonego pątnika” widoczny jest tylko na początku, gdyż im dalej w historię tym bardziej prywatna staje się owa fikcyjna Częstochowa, dalsza od pocztówkowej przewidywalności, bardziej tajemnicza i oniryczna, a przede wszystkim przez to, że jednocześnie bardziej intymna i oryginalna.

Zmiana kierunku fabuły przeprowadzona została energicznie, bo zeskokiem w estetykę pornoomów, „wilgotnych marzeń na wyciągnięcie ręki”. Główny bohater to pełnokrwisty, młody mężczyzna, więc zarówno w sferze jego snów, jak i na jawie erotyka odgrywa pokaźną rolę. Chędożenie w literaturze wydaje się dosyć ryzykowne, bo i naturalizm tworzy pewne pułapki i kliwa umowność niekoniecznie kooperować będzie z wcześniejszym skandowaniem hasła: „Gwałt. Kazirodztwo. Wyprzedaż”. Szkop w tym przyпадку broni się humorem.

Wylaniamy się później w różnych, różniących sytuacjach, aż w końcu w klimatach, męskiego, twardego, alkoholowego życia, ramię w ramię z doliniarzami w tzw. grzybie na tzw. kwadratach. (Nawiasem mówiąc bardzo ładna historia, która urasta do naj-

ważniejszej w książce. Jej usytuowanie w tomie to potwierdza, bo wydaje się, że jest finałem.) Na ponad stu, gęsto zapisanych stron, ujęto kalejdoskop historii. Perełką wydaje się opowieść o starzeniu się psa - sentymentalna fotografia, zryw w kierunku spraw zasadniczych, nieuchylanie się przed problematyką przemijalności. Gęsty język uprzyjemnia lekturę, jest faza w tej prozie i płynie prąd. Cięty humor, przeplotka między przeintelektualizowaniem, a swojskością. Kumpel od piwa i zgorzkniały mędrzec-kontestator - na przemian przejmują język.

Publikacja jako całość wygląda oszczędnie, zwłaszcza w porównaniu z „Wierszami najtańszymi”.

Język Szkopa zużywa rzeczywistość. Wylania się z głębi raz na jakiś czas, by zaczerpnąć świeżej rzeczywistości, po czym nurkuje ponownie w omam, marę, ułudę. Dzięki temu wykrzesane z języka postaci na chwilę nabierają pełniejszych kształtów, miewają wtedy prawdziwe emocje, żywsze myśli, by pod koniec oddechu pisać w transie jako odtłuszczone zjawy, ikonki, szkice - przednia czytelnicza zabawa. Choć autor podsuwa nam, w promujących książkę tekstach, formułę dziennika/sennika, to w niewielkim stopniu przydaje się ona w czytelniczej praktyce.

Warto także zauważyć, że mamy do czynienia z publikacją nieoficjalną - „Czasem słońce, czasem dres” to bibuła, nielegal - nie ma isbn-u, numeru seryjnego identyfikującego książkę, to pozycja zrealizowana poza wydawnictwami, obok nich, a może mimo. Skutkuje to pewnymi konsekwencjami - raczej nie zobaczymy tej książki w księgarniach, bo choć isbn nie jest wymaganą ustawowo identyfikacją książki, to rynek raczej nie odnosi się przychylnie wobec takich produkcji. Biblioteki natomiast mogą skatalogować taką książkę jako broszurę.

Podczas imprezy prezentującej książkę literatura w kluby zesła i bardzo się stało dobrze, bo bliżej to ludzi. Groteskowa oprawa wieczoru: autor w zielonej peruce, purpurą znaczone maliny, klaunada trochę, trochę dobry PR, a w zapowiedziach „psychospazmatyczne słuchowisko z fragmentami prozy Mateusza, jedną czwartą jego serca i końcówką języka”. Wyjście ze standardowych ram typowych dla prezentacji książek podzielało ożywo, romans z DJ-ami również.



fot. Piotr Kras, www.piotrkras.pl





fot. Piotr Kras

Pomnik performerki

Piotr Nita

Podwórkowa akcja

W głębi ciemnego podwórka migotały okna Café Montmartre. Stłoczona w środku ciżba, zjednoczona w jesiennej melancholii, zwarta w oczekiwaniu nowinek, głodna przejawów kultury zaskakującej, rozgrzewała się grzańcami z wina lub piwa, herbatą lub kawą. Sporadycznie ktoś wychodził na zewnątrz, by odpalić papierosa, w niebo gwieździste popatrzyć. Gdy Biernacka ogłosiła początek akcji wszyscy wylegli na wybrukowane kostką podwórko i ustawili się półokręgiem w zasięgu światła lejącego się z lampki uwieszanej nad wejściem do kawiarni.

Serca w liniach prostopadłych

Na środku ludzkiego skupiska pojawiło się plastikowe wiaderko. Biernacka wyjmować zaczęła z niego owalne przedmioty, w których dopiero po chwili rozpoznałem świńskie (lub krowie) serca. Natychmiast pożałowałem, że nie widać mięsnych czerwieni, krwistych refleksów światła na mokrych tkankach, że jest już późno, że o naturalnym świetle można już zapomnieć, że żarówka jest tylko żarówką. Na chirurgicznych rękawiczkach performerki pojawiały się ciemne plamki. Kolejne serca układane były według wcześniej opracowanego wzoru. Performerka cierpliwie je rozmieszczała, aż na bruku powstał kilkumetrowy krzyż.

Monopol krzyża

Symbole religijne to bogaty język, w którym rzeźbić można różne wypowiedzi. Motyw krzyża zajmuje w tym kodzie miejsce kluczowe. Krzyż to ogrom skojarzeń i olbrzymia wyporność nawiązań. Domniemywam, że w plebiscycie popularności przeprowadzonym przez GUS symbol krzyża wysforowałby się daleko przed wszelkie inne symbole. Istotne znaczenie dla tego zmonopolizowania uwagi społeczeństwa, odgrywa dość popularna jeszcze optyka w jakiej postrzega się Polskę

- optyka zakładająca wyznaniową, narodowościową i względnie światopoglądową monolityczność kraju, optyka, która aktualnie jest w odwodzie i ustępuje widzeniu wielokulturowemu, bardziej europejskiemu, nowoczesnemu. Krzyż to w tym kontekście również pocisk emocji, co dokumentują doniesienia prasowe z ostatnich miesięcy. Biernacka postanowiła więc uderzyć w mocny akord.

Uwzględniając wiatry koniunktury czas na akcję taką jak „Pomnik” (bo tak Biernacka zatytułowała performance) wydaje się dość korzystny. Apogeum debaty okołokrzyżowej wywołanej zajściami na Krakowskim Przedmieściu mamy już za sobą, lecz w pamięci jej ślad wciąż tkwi żywy. Osobiście doceniam akcje odpowiadające na bieżące wydarzenia, nastroje, ale pod jednym warunkiem - by nie zabierały głosu pochopnie, bez przemyślenia, błaho. To było moim zdaniem największe ryzyko realizacji „Pomnika”.

Podczas gdy Biernacka wprowadzała kolejne rekwizyty, chyłkiem spojrzałem na publiczność - zebrani w skupieniu obserwowali rozwój wydarzeń. Co przez chwilę nawet mnie zdziwiło, choć po namyśle w zasadzie nie było się o co burzyć, buldoczyć czy toczyć piany - bo akcja nie była w żadnym razie obliczona na prowokację.

Wgryzanie się

Wezmę na swoje barki krzyż wgryzania się w symbolikę tej akcji i spróbuję ponieść go nieco. Wycinanki przedstawiające ludzkie, trzymające się za ręce postacie, otoczyły krzyż zwartym kręgiem. (Gdzie te kolory, kontrastująca z czerwienią serc biel papieru?). Chwilę po tym jak Biernacka rozłożyła wycinanki w kręgu, kolejno zaczęła przykładac do nich płonące zapalniczki. Postacie szybko strawiły ogień. Przez chwilę przebijały się kolory w ciepłym oszukaństwie.

Krzyż z serc to krzyż prawdziwy, szczerzy, oddany - dekoduję scenkę - a że ludzie palą się wokół niego - to już wina ludzi, ich struktury - płonnej, papierowej. Płonący wokół krzyża ludzie uruchamiają jednak całe serie skojarzeń. Zakładam, że nie jest to jedynie odnośnik do wypalania się w konflikcie na Krakowskim Przedmieściu. Dopatruję się w „Pomniku” wypowiedzi wielopoziomowej, opowieści o niszczeniu międzyludzkiej wspólnoty, która choć zebrana wokół wspólnej sprawy, nie potrafi wspólnie trwać. Biernacka odpaliła spory ładunek metaforyki, który jednak docierał do mnie z dużym opóźnieniem - podczas samej akcji moją uwagę zdominował jej finał.

Psy suspensu

Ostatecznym dopełnieniem akcji było wprowadzenie na smyczach dwóch psów niespodziewanie wypuszczonych z samochodu performerki. Przyprawione na miejsce akcji przecięty krąg po spalonych wycinankach i obwąchiwać zaczęły krwiste atomy krzyża.

Te psy właśnie zaskoczyły mnie najbardziej. Oczekiwałem rozrostu rekwizytorium, ale nie spodziewałem się żywych rekwizytów na czterech łapach. Metaforyczne wykorzystywanie przedmiotów ściśle wiąże z początkami ludzkiej religijności, z pierwotnymi formami życia duchowego człowieka, z magią. Dziś te przestrzenie bezkompleksowo eksploatują jedynie dzieci w swoich zabawach symbolicznych. Zdarza się to również w przestrzeniach teatralnych jak np. performance „Pomnik,” czy w prezentowanych w Częstochowie akcjach Dominika Złotowskiego lub grupy Suka Off. Obecność psów odczytuję jako personifikację ostatecznej siły niszczącej. Symbol-krzyż nie przetrwał, bo ludzie wokół niego się rozpięchli, więc symbol uległ. W tym przypadku psim szczękom. Jeżeli Biernacka miała na celu wszyć w tkaninę performansu jakiś morał, to chyba dotyczył tej właśnie przestrzeni. Choć zakładam, że odczytów akcji może być wiele.

Podczas, gdy psy podjadały mięsna jałmużnę Biernacka podziękowała za udział w akcji i zaproponowała, by każdy, kto psiaka posiada zabrał dla niego przekąskę.

Akcja odbyła się 22 października 2010 roku w Częstochowie.

Alchemik rzeźby

Marian Panek

Maciej Kędziora był postacią znaną w polskim środowisku rzeźbiarskim, zarówno ze swojego sposobu bycia, charakterystycznej sylwetki, wyrażania krytycznych opinii, nietuzinkowego poczucia humoru i pełnej intelektualnej przewrotności inwencji artystycznej.

Częstochowskie Państwowe Liceum Sztuk Plastycznych ukończył w 1969 r. Tu zetknął się z rzeźbiarzami: Czesławem Dukatem i Gabrielem Hajdasem, którzy uczyli go podstaw sztuki rzeźbiarskiej. Równoległe z rzeźbą fascynował się rock'n'rollem i jazzem. Udawało mu się grywać również z najlepszymi ówczesnymi zespołami i instrumentalistami np. BS&T. Jednak powodowany chęcią dalszego artystycznego kształcenia rzeźbiarskiego talentu, zdał konkursowy egzamin do Państwowej Wyższej Szkoły Sztuk Plastycznych w Gdańsku, obecnie ASP gdzie pod okiem prof.: Franciszka Duszeńki i Adama Smolany studiował w latach 1974 do 1980. Potem z sentymentem opowiadał o swoich profesorach, o ich korektach i światopoglądach rzeźbiarskich, które były dla niego bardzo ważne, stanowiąc swoisty artystyczny kompas odniesień.

Twórczość zmarłego przedwcześnie Macieja Kędziory jest wielowątkowa. Oprócz podstawowej pasji tworzenia rzeźby (słowo bardziej adekwatne niż rzeźbienie), również interesująco kreował linearny rysunek kobiecego aktu i sporadycznie malował.

W czasie studiów miał dwie indywidualne wystawy. W 1977 r. w Domu Kultury Gdańsk Przymorze zaprezentował małe formy rzeźbiarskie oraz rysunki będące transpozycjami sta-

rodruków gotyckich. Zastosowane w nich do różnorodnych surrealistycznych tekstów duże inicjały stanowiły uproszczone quasi pornograficzne rysunki, które wywoływały kontrowersyjne opinie i bardzo gorące dyskusje. Mimo to zostały sprzedane wszystkie, co do sztuki. Następną wystawa miała miejsce już rok później w Galerii Młodych w Gdańsku i pokazała tam małe formy rzeźbiarskie. W 1974 r. w Nowej Rudzie i w 1976 r. w Cieszynie wziął udział w Festiwalach Studentów Szkół Artystycznych. Realizował tam w gronie kolegów z Gdańskiej PWSSP działania parateatralne: „Kolorowe dymy”, „Krwawiąca kamienica” (spływająca z otworów okiennych zrujnowanej kamienicy czerwona farba sugerowała rany zadane żyjącym kiedyś budynkiem). W Cieszynie „Muzeum człowieka” (nagi człowiek wykorzystany jako muzealny eksponat), „Biuro” (pokazano biurokratyczny cykl niezłażenia sprawy przez żywe eksponaty naszych urzędników i inny pomniejszy personel). W 1978 r. na studenckim plenerze zaprojektował rzeźbę stojącą w wodzie przy porcie rybackim we Władysławowie, która była pomysłem jako, wydający różne kaskadniczne dźwięki „Strach na ryby”. Z zainstalowanych na jego metalowej konstrukcji z szyn kolejowych, blach, łańcuchów, tub i gwizdków miały wydobywać się piekielne dźwięki. Rzeźby niestety nie zrealizowano.

W swoich studenckich pracach był, jak sam mówił, inny od swoich kolegów. W tym czasie nie interesowało go tradycyjne studium aktu, chociaż doskonale czuł formę ludzkiego ciała. Zamiast stojących czy siedzących postaci realizował kształty wiszące jakby w opozycji do pro-

gramowych uczelnianych ćwiczeń. Już wtedy tok jego rzeźbiarskiego myślenia szedł w kierunku kondensacji zjawisk i problemów twórczych w jedną oczywistą wypowiedź. Ten sposób własnego widzenia rzeźby potwierdzają bardzo charakterystyczne, proste działania czy osobne techniki realizacji stosowane rzadko przez innych artystów, takie jak sklejanie czy skręcanie różnych materiałów, montaż przedmiotowy, przewiercenie, wycięcie elementu z większej całości, wprowadzenie koloru przez pomalowanie części bryły, czy kontrast materiałów (szlachetny do ubogiego). Działania te dają wyrazisty plastycznie, a zarazem intelektualnie i koncepcyjnie efekt w jego rzeźbiarskich obiektach. Jak sam mówił „moje rzeźby są bardziej wynajdywane niż rzeźbione, to materiał podpowiada mi końcowy efekt”. Można powiedzieć, że gotowe elementy znalezione w naturze kamienia, czy otaczająca go rzeczywistość w dużej mierze były dla Macieja inspiracją twórczą prowadzącą do realizacyjnej pointy. Kędziora bawił się znalezieniem odpowiednich treści w materiale, a tematyka jego rzeźb jest bardzo różnorodna, ale spójna, jeśli chodzi o przyjęte sposoby realizacyjne. To znaczy również, że autor zawsze wynajduje znaczenia i symbolikę bliską swojej osobowości. Przyjęte techniki i pomysły warsztatowe, są pewnego rodzaju zwornikiem dla jego stylu wypowiedzi. Elementy dodane do pierwotnej bryły, nabierają nowych znaczeń. Są to zwykle drobne przedmioty, czasami wyjęte z szuflady biurka lub znalezione po prostu na ziemi. Rzeźby Macieja Kędziory są również pewnym dydaktycznym czy obyczajowym przesłaniem myślowym, będąc formalnie rzeźbiarskim collage stosowanym współcześnie przez wielu twórców.

Jedną z zasadniczych wartości światopoglądu rzeźbiarskiego Kędziory jest umiejętność przypisania formie znaczenia przez rzeźbiarską kreację, gdzie decyzja użycia danego materiału jest jedną z najważniejszych. Struktura „tworzywa” i jego



fot. Robert Czyż

kolor ułatwia podkreślenie czy uzewnętrzenie metaforycznych treści tkwiących w nim samym. Kędziora nigdy nie udaje materiału np.: nie zastępuje drewnianej formy gałęzi gipsem czy kamieniem. Tym samym to sam budulec i jego forma w konsekwencji staje się pewną ideą zawartą w nim rzeźby. Artysta potrafi stworzyć rzeźbę praktycznie prawie z każdego materiału. Wynika to z samego olbrzymiego szacunku do jego „historii”. Od swoich profesorów F. Duszeńki i A. Smolany przyjął interesującą maksymę ważną zawsze dla niego. „Trzeba dużo patrzeć, obserwować naturę, bo wokół jest wiele rzeźb i obrazów, trzeba je raczej roz-

poznać i wyjąć z otoczenia niż budować czy lepić od początku”.

Po studiach swoją pierwszą wystawę rzeźby i rysunku miał w Częstochowie w 1980 r. w Galerii KMPiK gdzie pokazał głównie nowe prace z cyklu „Anioły z życia wzięci” między innymi „Anioł – agent”, „Para”, „Orfeusz”. Były to gipsy patynowane farbą naszkliwną, co nadawało im rozróżbionym powierzchniom świetlistości i lekkości.

Autentyczną pracą w kamieniu i to bardzo twardym w obróbce – granicie (dającym jednak wiele twórczych możliwości) Maciej Kędzi-

ra rozpoczyna na dobre w 1984 r. na plenerze rzeźbiarskim nad jeziorem Wdzydze. Kilkakrotny pobyt tam owocował pracami w gładkich narzutowych, które, podrzeźbione, łącząc z innymi materiałami, czy rekwizytami. Miał tam możliwość wyboru kształtu kamienia, jego koloru, użycia i rozkładu barw, stąd przydomek „rzeźbiarzysta – malarzysta”. Te pierwsze wybory decydowały później o koncepcji i formie finalnej rzeźby. Tam też powstał np. „Zakluczony” 1984, „Pryszczyty kolonotatnik” 1985, „Mój wymarły generał” 1986, „Ponadczasowy podporucznik” 1987, „Krzywy ryj” 1987. W tych i innych pracach wielokrotnie zestawiał kuty kamień z polerowanym, w celu zróżnicowania struktury powierzchni. Jego „kamulce”, jak je sarkastycznie, ale i czule nazywał, były dla niego prawie żywymi istotami, z którymi przy pomocy dłuta rozmawiał. Jak sam stwierdzał „bywało, że taki kamulec przez dwa czy trzy tygodnie nie chciał pary z gęby puścić, a później śpiewał jak z nut, a zależało to tylko od tego jak się go traktowało dłutem”. Powstało tam szereg popiersi z podtekstem politycznym np. wspomniany wcześniej „Mój wymarły generał”, „Ponadczasowy podporucznik” odwołujące się do tradycji wojskowej Polski międzywojennej a także prace o charakterze osobistym jak „Pryszczyty kolonotatnik” czy „Autoportret na szelkach”. W tym czasie był zaprzęgnięty tak zwana „idea kamienia”, czyli rozpoznania drzemiącej w nim formy i równocześnie znalezienia symbolicznych treści. Równoległe uczestniczył w Salonach Zimowych Rzeźby organizowanych przez ZAR (1986 – 89) w jego warszawskiej galerii, gdzie prezentował m.in. „Szkielek i oko”, „Mag”, „Czarny klawisz”. W 1986 r. w konkursie na rzeźbę muzyczną, organizowanym przez Filharmonię częstochowską i Stowarzyszenie Środowisk Twórczych zdobywał I Nagrodę za rzeźbę „Zakluczony”, oraz wyróżnienie za pracę „Pryszczyty kolonotatnik” – obie zakupione później przez Muzeum Okręgowe w Częstochowie.

Był też od 1985 roku członkiem grupy artystycznej „CZART”, z którą wystawiał w Częstochowskim BWA pokazując „Darte rysunki”, cykl prac powstałych przez wydzieranie form papierowych z zamysłem przekazu egzystencjalnych treści. Tytuły rysunków mają osobiste, ironiczne odniesienia np.: „Sam sobie sterem, żeglarzem, okrętem”, „Sami swoi”, „Nie ma chęci męża zdradzić”. W pracach tych rozdarcia, szczeliny umożliwiły widzowi przechodzenie lub zagłębienie przez rysunek czyli przedstawienie zmienności ich w zależności od tego co w danym momencie pojawiło się poza nimi. Rzeźby tam prezentowane o lustrzanych obliczach pozwalały identyfikować się z nimi oglądając swe odbicie. „Polerowane pyski” ukazywały osobisty portret widza pochylonego nad rzeźbą w aranżowanej przez artystę sytuacji wystawienniczej. Z grupą „CZART” wystawiał trzykrotnie na ekspozycjach pod wspólnymi hasłami „Zwyczajny człowiek” - BWA Częstochowa 1985 r., „Nie tylko biust” - BWA Wrocław 1986 r., „I każdy sam” - BWA Katowice '86 r.

W jego twórczości na przełomie lat osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych można zauważyć tendencję do realizowania rzeźb coraz bardziej kameralnych. Założenie artysty było bardzo proste, by tworzyć rzeźby, które można udźwignąć w cudzysłowie i fizycznie. Kędziora twierdzi: „o monumentalności dzieła nie świadczy jego gabaryty”. Nowe rzeźby zaczyna nazywać „istotkami”, bowiem jego twórczość oscyluje wokół stworzeń, których światy zbliża do swojej idei „kukielki”. Jego twórcze myślenie obraca się w kręgu prób przedstawiania istot wpisanych w materię rzeźby o organicznych formach.

Galeria „kukielek” jest liczną więc przedstawię kilka ważniejszych „Mag” 1987 – małe popiersie w zlepieńcu na granicy ze szklaną kulą, „Czerwono - czarny” 1993 – dwiistość ideologiczna w jednej formie zrealizowana w kamionce, „Czarny

klawisz” 1997 – popiersie w granicie zmontowane z pękiem kluczy, „Zakuty cyklop” 1999 – silnik od motocykla przetworzony w wyobrażenie rycerza, „Złota rybka” 1999 – żeliwna forma znaleziona przy torach kolejowych, stała się inspiracją do kolejnej rzeźby metaforycznej, „Ave, ave...” 2000 – postać podjasknogórskiego żebraka-grajka, marmur połączony z granitem i aluminium, „Nowe szaty króla” 2000 - drewniany klocek-gałęź połączony z metalowym kranem muszelką, nawiązuje do tytułu bajki J. CH. Andersena, „Wyrzeźbiony tryk” – 2000 tragikomiczna rzeźba z pnia drzewa podtekstem do męskiej siły potencji.

Oprócz wykonywania rzeźb Maciej Kędziora zajmował się ich konserwacją oraz restauracją zabytkowych budynków, prowadząc firmę konserwatorską KONS-STEIN. Przygodę z konserwacją zabytków rozpoczął na zamku w Książu k/Wałbrzycha z Zakładami Doświadczalnymi gdańskiej PWSSP 1974 – 1978. Dalsze prace konserwatorskie to w latach 90-tych obiekty: Pławniowice – Zamek Biskupi 1994, Katowice – XI-X-wieczna kamienica 1994, Cieszyn – renesansowa kamieniczka „Pod Hermesem” i „Kamienny krzyż” 1994, Berlin - kamienica 1997. W międzyczasie dwukrotna renowacja tablicy pamiątkowej na Filharmonii i pomnik „Poległym w obronie Ojczyzny 1939 – 1945” w Częstochowie.

Przez trzy lata 1992 – 95 prezentował swoje prace w ZAR-owskiej „Galerii nie tylko rzeźby”, której otwarcie odbyło się w czerwcu 1992 roku. W 1994 r. wystawił swoje projekty na zbiorowej wystawie pt. „Niepowtarzalne nagrobki”, na patio restauracji „Cepelińska” przy BWA w Częstochowie w ramach większej akcji – „Rzeźba memorialna”. Zrealizował trzy rzeźby nagrobkowe, jedna poświęcona pamięci artysty plastyka Tadeusza Miśkiewicza (cmentarz Kule), druga Pawłowi i Zofii Bisiów (cmentarz Bleszno), trzecia Janowi Szymie. Oprócz tego, lecz znacznie

wcześniej, w 1991r. zrealizował tablice memorialne na budynkach Filharmonii Częstochowskiej i Szpitala Miejskiego im. Rydygiera w Częstochowie. Był jednym z kilku projektantów i wykonawców stałej wystawy „Historia i dzieje Ziemi częstochowskiej” 1985 – 95 w Muzeum Okręgowym w Częstochowie.

W październiku 2000 r. wraz z Szymonem Wypychem przygotował wspólną ekspozycję w Muzeum Okręgowym. Wystawa ta była jego czwartą indywidualną prezentacją po zakończeniu studiów. Tytuł jej „SZARE JAK PAPIER PAKOWY” nawiązywał do planowanej aranżacji i zastosowania w niej podkładów szarego papieru, co według autora było „opakowaniem całej warstwy” i dawało wrażenie patrzenia na rzeczywistość przez przymknięte powieki. Powodowało to scalenie zasadniczych elementów wystawy, oraz pozwalało na wydobycie poszczególnych eksponatów, koloru czy zastosowanych w rzeźbie różnorodnych materiałów.

Trzeba powiedzieć, że obfitująca w wiele interesujących dzieł twórczość Macieja Kędziory zasługuje na szczególną uwagę. Był to artysta szalenie niezależny, „wielobarwny”, o wielu warsztatowych zaletach i możliwościach, które nie zostały do końca wykorzystane, chociażby w realizacjach obiektów pomnikowych (I zbiorowa nagroda w konkursie na pomnik „Poległym w obronie Ojczyzny” 1984 w Częstochowie, projekt niezrealizowany). Jego artystyczna wrażliwość, umiejętność ekspozowania symbolicznych znaczeń dawała nadzieję, że te zalety jego rzeźbiarskiego talentu zostaną kiedyś spożytkowane do realizacji większego publicznego zamówienia. Niestety tak się nie stało. Maciek zmarł.

Częstochowa, październik 2010



Byłoby grzechem nie malować tych historii

z Przemkiem Kossakowskim
rozmawia Dominika Radkowska

zdjęcia: Piotr Dłubak

Studiowałeś grafikę, jednak w Twojej twórczości dominuje malarstwo. Postanowiłeś zamienić grafikę na malarstwo, czy ono było wcześniej?

Przemek Kossakowski: Tak, malarstwo było wcześniej. Taka była początkowo moja specjalizacja w pracowni Wenera Lubosa. To była wypadkowa paru rzeczy. Pamiętam opinie moich znajomych, którzy twierdzili, że jeśli ktoś chce malować, to i tak powinien studiować grafikę, bo ma wtedy możliwość opanowania warsztatu, a malarstwo jest kwestią indywidualną. Jest takie powiedzenie, że rysować można nauczyć nawet małpę. A malowanie wiąże się z umiejętnościami manualnymi i obserwacjami. Szczególnie w przypadku malarstwa postmodernistycznego, gdzie ten indywidualizm jest bardzo istotną cechą. Idąc tropem powyższej teorii pomyślałem, że dobrze mieć fach w ręku, czyli opanować coś, co polega na technice. Na pierwszym roku dobrze wypadałem z malarstwa, byłem bardzo komplementowany i nagle coś mi się stało. Wszystko było dobrze i nagle dostałem takiej flauty (dwa razy w życiu mi się coś takiego przydarzyło) – poszedłem w jakąś ślepią uliczkę i moje malarstwo z przeglądu semestralnego i przeglądu koń-

czącego rok mocno zmieniło się na niekorzyść. Dotąd nie potrafię zrozumieć, co się wtedy wydarzyło. Ale wydawało mi się wtedy, że zatraciłem umiejętność, a potem serce do malowania. W końcu zdecydowałem się na grafikę i nie malowałem przez jakiś czas. Potem od czasu do czasu wracałem do malowania, ale zniechęcałem się szybko.

Jak malowałeś na studiach? Czy to był inny styl, niż ten który rozwijasz obecnie?

P.K.: Nie miał nic wspólnego z tym co teraz. To były albo studyjne martwe natury albo abstrakcja. Był to taki poligon do działań poprzez kolor, w którym się wyżywałem. I to było doceniane, że podobno miałem dobre wycucie koloru. Pracowałem nad tym. Zawsze miałem też ambicję, żeby połączyć rysunek z malarstwem. I bardzo mnie zniechęcało, że nie potrafię tego zrobić w taki sposób, w jaki bym sobie życzył.

Kiedy zacząłeś wchodzić w malarstwo z anegdotą?

P.K.: Ta tematyka pojawiła się najpierw w moich rysunkach i grafice. Jednocześnie podejmowałem te, jak sądziłem, beznadziejne próby przetransponowania tego na malarstwo i coś mi ciągle nie odpowiadało. Aż któregoś dnia, już pod koniec studiów, coś zaskoczyło, zacząłem iść tą drogą i ponownie malować. Dużo rysowałem i raptem zaczęło mi też wychodzić, kiedy wprzęgnąłem w prace kolor. Tęskniłem za farbami, pędzlami, mieszaniem barw. Najpierw były to gwasze, potem koloru było coraz więcej.

Ale kolor w Twoich wcześniejszych obrazach nie był taki „rozbu-chany” jak obecnie. Barwy były bardziej wyszukane, stonowane, pokrewne sobie.

P.K.: Zaczynałem od żywych barw, potem stopniowo gasiłem paletę, nie potrafię wytłumaczyć dlaczego. Zacząłem obniżać rejestr, aż uznałem, że przekroczyło to pewną granicę i zrobiło się zbyt mroczne. I tak od około dwóch lat „wychodzi” ze mnie kolor i chcę się nim przez jakiś czas nacieszyć. Może dobrze byłoby znaleźć środek pomiędzy tymi tendencjami. Na razie odpowiada mi to, że teraz wahnęło mnie na drugą stronę. Może kiedyś uzyskam ten balans.

Skąd przychodzą postacie na Twoje obrazy?

P.K.: One mi tak wyskakują – w sensie rysunkowym, ale pytasz o sens fabularny? Kiedyś było dużo Alicji w Krainie Czarów, albo bajki, albo postacie pochodzące z różnych mitologii. Co pewien czas popełniam nadal taki obrazek. Ale bardziej ostatnio korzystam z doświadczenia, czyli postaci spotkanych w życiu. A doświadczenia mam niebywałe, bo mieszkam w szczególnym miejscu. Na wsi liczącej ze sto dwadzieścia dusz. I byłoby grzechem, żeby nie malować tego, co tam się dzieje.

Namalowałem taki obraz „Niefortunne świniobicie”. Obraz sam w sobie - nic nadzwyczajnego, nawet nie bardzo go lubię. Ale jest oparty na historii z mojej wsi. W trakcie świniobicia, wszyscy uczestniczący w nim byli przekonani, że świnia jest martwa. A świnia po chwili zaczęła biegać po podwórku. To było jak z Kusturicy. Na dodatek płonęła, poleciała w żyto i narobiła mnóstwo szkód.

Dwa miesiące temu pracowałem w lesie z mieszkańcami wsi. Ciężkimy drzewo i na każdej przerwie chłopaki snuli niesamowite opowieści.

Jakie jest Twoje nastawienie do tego typu otoczenia i vice versa? Widzisz bardziej malowniczość tych ludzi, czy ich odmienną mentalność?

P.K.: Wyobraź sobie, że oni nawet mnie lubią. Mam we wsi ksywę, „Matejko”. Udzielam się społecznie, jak coś trzeba namalować, upiększyć wieś. Pomalowałem przystanek, słup ogłoszeniowy. Ja też lubię tych ludzi, chociaż niektóre sytuacje mnie rozśmieszają, a inne przerażają. Ale dogaduję się z nimi. Ludzie na wsi są nieufni i nie lubią kiedy ktoś stara się ich edukować. Staram się dostosować i okazuję im szacunek. Oni ciężko pracują i nie mają czasu ani ochoty na niektóre rzeczy. Nie porozmawiam z nimi o kinie, o filmach itd. Ale to nie zmienia faktu, że czuję do nich sympatię.

Czy grafika, rysunek nadal znajdują miejsce w Twojej twórczości?

P.K.: Grafiki nie robiłem od bardzo dawna. Rysuję regularnie cały czas, szkicuję. Ale nie są to autonomiczne rysunki, tylko zarysowane postaciami, planami kartki, które potem wyrzucam – wprawki techniczne.

Identyfikujesz się z jakąś grupą malarzy czy z jakąś tendencją? Można doszukiwać się w Twoich obrazach pokrewieństwa z malarstwem Jacka Pałuchy, Rafała Głowackiego, Tomka Sętowskiego...

P.K.: Zdaję sobie sprawę, że nade mną ciąży to, że jestem malarzem z Częstochowy i to jest widoczne. Miałem kiedyś taką sytuację – zawiozłem obrazy do jakiejś galerii warszawskiej i od razu zapytano mnie czy jestem z Częstochowy. Zdziwiłem się. – Skąd pan wie? – Panie, przecież to widać. Więc identyfikuję się z rodzajem malarstwa

Byłoby
grzechem
nie malować
tych historii



jaki wygenerowało to miasto. Jak każdy artysta nie chciałbym być porównywany, ale czuję, że coś takiego zaważyło na moim sposobie malowania, że tym malarzem z Częstochowy zawsze będę. I bardzo mnie to cieszy. Pani Anna Maciejowska na werniszu mojej wystawy określiła te prace jako postkoloryzm z elementami groteski.

Twoją techniką jest akryl?

P.K.: Tak. Te przygaszone obrazy były olejne. Zaczęłem od akryli, było bardzo kolorowo, potem stonowałem w technice olejnej, a teraz znowu wskoczyłem w akryle.

Tytuły Twoich obrazów są intrygujące. Są kwintesencją anegdot zawartych w pracach. Mógłbyś rozwinąć którąś z takich historii? Ciekawi mnie obraz „Opłakane skutki nadużycia metafory”.

P.K.: To jest historia mojej babci – jedna z najbardziej spektakularnych historii, jaką zdarzyło mi się namalować. Pamiętam z dzieciństwa jedną z takich imprez, na których pito eter – środek używany do usypiania czy znieczulania pacjentów. Nie znałem wtedy działania tego środka, ale pamiętam, jak mój dziadek tłumaczył z namaszczeniem jak to się powinno pić – jakieś wdechy, wydechy. To było zupełnie legalne – wyciągało się małą ilość środka od znajomych pielęgniarek ze szpitala. Rzecz nie polegała na upijaniu się eterem, na imprezie pito dwa-trzy kieliszki. To musi być niesamowicie mocne. Babcia opowiadała mi, że kiedyś przyszedł wujek Witek, który był znany elegansem – chodził w płaszczu, szalu. Zajrzał na imprezę tylko na moment i wcale mu się nie uśmiechało picie tego eteru. Ale wszyscy, jak to w Polsce – Co nie napijesz się z nami? Więc usiadł, nie zdjął nawet płaszcza ani szalika. Pomyślał, że potraktuje dosłownie metaforę o „wylewaniu za kołnierz”. Przy toście wszyscy byli bardzo skoncentrowani, a wujek symulował, że pije i wlewał eter w szal. Po paru kolejkach tak się rozochocił, że nie pomyślał i zażyczył sobie papierosa. W momencie, kiedy go odpalił – jego głowa stanęła w płomieniach. Krzyczał, tupał, bił się po głowie, a potem zaczęli bić go po głowie współbiesiadnicy, próbując go zagasić. W końcu ktoś przytomny zarzucił mu obrus na głowę i udało się zgasić płomienie. Kiedy zdjęto obrus – widok wujka Witka był żalony – nie miał brwi, włosy mu się trochę tliły i miał poparzenia. A wszyscy twierdzili, że na poparzenia trzeba zrobić kompresy. I zrobili mu z tego eteru jeszcze kompresy na twarz. I tę historię zawiera obraz. Gdyby nie opowiadała mi jej moja babcia – wzór prawości i wszelkich cnót, to bym nie wierzył, że to mogło mieć miejsce.

Za obraz „Wład melancholijny” dostałeś wyróżnienie na pierwszej edycji Ogólnopolskiego Konkursu na Obraz dla Młodych Malarzy im. Mariana Michalika. Przedstawiłeś tu Draculę?

P.K.: Tak. Zastanawiałem się jak wyglądał Dracula, kiedy było mu smutno – tak po prostu, po ludzku.

Co Cię skłoniło do opuszczenia Częstochowy i zamieszkania w zachodniopomorskiej wsi? Kiedy to było?

P.K.: Wyjechałem jakieś sześć lat temu. Zaczęło mnie mierzć miasto, a w tamto miejsce wcześniej jeździłem na wakacje do znajomego. Pomyślałem, że ponieważ maluję, to mogę to robić w każdym miejscu. A potem

się tam przeprowadziłem i przestałem malować – interesując.

Wciągnęło Cię życie na wsi?

P.K.: Tak, ale to było zapętlenie, bo powinienem był malować cały czas.

Ta zmiana tematyki prac – z baśniowej w obyczajową – nastąpiła po zmianie miejsca zamieszkania?

P.K.: Tak, to sprawiły wszystkie historie i przygody, które przeżyłem mieszkając w tej wsi. Kiedy nie malowałem, pracowałem w dziwnych miejscach. Czasem jeździłem pracować sezonowo za granicę. Spędziłem pół roku w Holandii na budowie i wtedy stwierdziłem, że zamotałem się w pewnym momencie i że nie powinno tak być. „Opłakane skutki nadużycia metafory” namalowałem w Holandii. Wtedy pierwszy raz było mnie stać na dobre farby. A w weekend, zamiast balować z Polonią, siadałem u siebie i malowałem. Zaczęło mi to iść i dotąd trwa. Ten wyjazd był takim przełomem, kiedy zauważyłem, że źle porozkładałem akcenty i powinienem to zmienić. Mam różne pomysły tematyczne. Na przykład na wystawę, która opisuje emigrację zarobkową. Bo tu też zauważyłem tematy na obrazy. Chociażby postać Bronka, świniętego gołębiarza, wydającego całą wypłatę na kupno gołębi albo łapiącego gołębie przed Pałacem Królewskim w Hadze. Wysyłał je do Polski, żeby jego szwagier puszczał je nad jego domem. A kiedy złapał przypadkiem słabszego gołębia nie był już w stanie go wypuścić – zabierał go do domu i robił z niego rosół.

Taki był też obraz pod tytułem „Bordeaux z cukrem”. Wziął się z następującej historii: pojechałem do pracy do Francji i pracowałem przy zbiorze kartofli pod Paryżem. Przychodzili do nas często Francu-

zi i siedzieli z nami wieczorami. My piliśmy wódkę, oni przynosili wino. Kiedyś przynieśli Bordeaux, nalałi nam do szklanek. Jedna z dziewczyn spróbowała wino, krzywiąc się. Jak to można pić? Wybiegła, a po chwili wróciła z cukrem, dosypała, pomieszała. Francuz był wstrząśnięty. Wyglądał, jakby mu

się świat na głowę zawałił.

Będąc świadkiem takich sytuacji uznaję, że są to gotowe tematy na obrazy. Bardzo dużo robię teraz prac zakotwiczonych w otaczającej mnie rzeczywistości, bardzo różnej od mojego „doświadczenia miejskiego”. Ona jest bardzo spektakularna i szokuje. Notorycznie

opowiadam historie, które mi się przydarzają i ludzie nie mogą w nie uwierzyć.

Tego typu historii mam na kilka wystaw. Jedna będzie emigracyjna, jedna będzie wiejska – obraz polskiej prowincji: drobni lokalni politycy i ich koterie, ksiądz na parafii, który też ma bardzo dużo do powiedzenia.

Zapowiada się interesująco. Co jeszcze planujesz?

P.K.: Na początku października czeka mnie wystawa w Teatrze Nowym w Krakowie. Będzie połączone z monodramem. Najprawdopodobniej zrobię cykl obrazów do opowiadań Gombrowicza.

Kończy się mój czas na wsi. Teraz zanosi się na pójście w drugą stronę, więc uderzę w miasto. To będzie metropolia, jeszcze nie wiem jakie miasto wybiorę, Jest to dla mnie dość podniecająca myśl. Ale kiedy przechodzę w mieście pod takimi małymi okienkami, z których wyziera klaustrofobia, obawiam się. W miejscu, w którym mieszkałem dotąd, do najbliższego sąsiada mam pół kilometra i jesienią czy zimą w okolicach mojej chałupy można spotkać człowieka raz na dwa miesiące, bo tam już nie ma drogi. To jest całkowita izolacja, można o trzeciej w nocy odpalić Slayera. Ale jest też kwestia braku kontaktu intelektualnego. Czasem chciałbym się z kimś porozumieć, a nie bardzo mogę. Rozmowa telefoniczna jest tylko substytutem kontaktu. Wtedy muszę wyjeżdżać. A zimą jest to bardzo utrudnione. Czasem czuję się tam jak najszczęśliwszy człowiek świata, a czasem czuje się tam jak w więzieniu. Dlatego stanąłem przed wyborem ponownej zmiany swojego miejsca.

Dziękuję za rozmowę i czekam na kolejne malarskie historie.



Młoda Częstochowa - AUTOPORTRET

zebrał i opracował: Adam Florczyk

Dużo się ostatnio mówi o młodej kulturze, jej roli i znaczeniu dla miasta. Może nawet zbyt dużo, bo zrobiło się z tego swoiste hasło wytrych. W związku z tym redakcja „Alej3” zamiast o młodej kulturze pisać, postanowiła oddać jej głos. Korzystając ze zbliżającego się sezonu na wszelkiego rodzaju podsumowania, przygotowaliśmy sondę, w której pytamy młodych artystów i animatorów kultury o to, jak widzą szanse dla swojego środowiska w Częstochowie oraz o najbliższe plany. Mamy nadzieję, że w ten sposób uda się nakreślić panoramę młodej kultury częstochowskiej tuż przed rokiem 2011.

Wybór uczestników sondy należy traktować na zasadzie próby statystycznej, a nie szeregu wartościującego młodych kreatorów życia kulturalnego naszego miasta. Staraliśmy się wybrać reprezentantów różnych środowisk i dziedzin artystycznych.

Postawiliśmy ich przed następującymi problemami:

MIASTO:

Czy Częstochowa ma szansę stać się miastem przychylnym młodej kulturze? Czy ma ona potencjał by rozbudować swoją kulturową ofertę i pokonać wreszcie niekończące się problemy z frekwencją na koncertach, wystawach, przedstawieniach? Czy w Częstochowie jeszcze warto się starać, by ją zmienić?

PLANY:

W kontekście powyższego pragnęlibyśmy zapytać plany na rok 2011.

Piotr „Dziker” Chrząstek

– muzyk (związany m.in. z Sektorem B, Habakukiem, Ideo aktualnie Nefre), animator kultury nie tylko hiphopowej, a od ubiegłego roku także pracownik Wydziału Kultury i Promocji Urzędu Miasta. Jeśli chodzi o młodą częstochowską kulturę, mówi się, że zna wszystkich i wie wszystko.

MIASTO: Szansa miasta to właśnie młodzi, aktywni. Częstochowa zawsze miała „swoją, oryginalną kulturę” i wiem, że to ludzie tworzą jej klimat. W mieście dzieje się bardzo dużo, mamy wystawy, koncerty, filmy offowe, kino studyjne, teatr, kluby pręźnie działające, a dla mniej wymagających dyskoteki z dobrymi dj’ami. Oferta kulturalna jest naprawdę ogromna. Mamy wielu artystów, animatorów rozwijających miasto, organizujących koncerty itd.

Niestety, frekwencja imprezowa często jest bardzo słaba. Głównej przyczyny tego stanu rzeczy upatruję w braku „życia studenckiego” w mieście. Tzw. „kultura studencka” praktycznie nie istnieje, poza małymi wyjątkami i kilkoma działaczami z Politechniki czy z AJD. A to właśnie żacy tworzą często klimat imprezowy wielkich miast. Pozostają nam więc mieszkańcy naszego miasta oraz młodzież szkół średnich, a z tym też na imprezach nie jest najlepiej. Często słyszymy, że bilety są za drogie, że jak nie ma za darmo to nie idę itd. A przecież wiele imprez jest za darmo, należy tylko być czujnym. Mamy tendencję do narzekania, a wystarczy tylko chcieć się zainteresować i po prostu wyjść z domu.

Do kultury trzeba dorosnąć i wierzyć, że jest jeszcze szansa na jej rozwój w mieście. Zadaniem animatorów i organizatorów jest docieranie do ludzi i przekonywanie ich do uczestnictwa w życiu kulturalnym miasta. Można to robić, jak dotychczas, poprzez media oraz pocztę pantoflową. Jeżeli nie będziemy próbować, to nie nazywajmy się animatorami kultury.

PLANY: Jako muzyk nadal zamierzam produkować nowe utwory dla NEFRE, koncertować oraz organizować koncerty w klubach i w plenerze. Mam wiele pomysłów, których nie chcę zdradzać. Jestem producentem nagrań dla kilku młodych solistów i solistek z Częstochowy i cały czas poszukuję młodych zdolnych, aby pomóc im w karierze.

Jako animator kultury i urzędnik już od listopada 2010 pomagam w akcji „Strofa Debiutu” wysyłając tam młode zespoły muzyczne. W lutym mam zamiar ruszyć z darmową, zimową akcją w klubach pt. „Nie

siedz pod kocem, przyjdź na live koncert!” W jej ramach chcę zorganizować np. w Café Belg małe recitale młodych twórców *unplugged*. Oczywiście latem 2011 wraz z całym Wydziałem Kultury i Promocji już po raz trzeci planujemy akcję w amfiteatrze na Promenadzie, czyli: kino letnie, dyskoteki i oczywiście „Młoda Estrada on Promenada”. Nie będę mówił o stałych punktach jak Dni Częstochowy, Sylwester, Dni Samorządu i inne, ponieważ są to wielkie przedsięwzięcia miejskie. Osobiście, cały czas tworzę bibliotekę zespołów muzycznych z Częstochowy i mam już prawie sto pozycji! Wiele zespołów zgłosiłem i nadal będę zgłaszał na festiwale w całej Polsce, aby promować Częstochowę poprzez ich talent. Mam także swoją stałą rubrykę w informatorze CGK – Lokalne Muzykatory – gdzie opisuję i promuję młode zespoły z Częstochowy. Cały czas można się zgłaszać do mnie po radę, czy w miarę możliwości pomoc w zakresie kultury alternatywnej. Pisać można by jeszcze wiele, bo planów jest dużo. Najlepiej jednak poczytać CGK i przyjść na koncerty, wystawy organizowane przez Wydział Kultury i Promocji UM, do czego zachęcam i zapraszam.

Szymon Motyl

– twórca „Kury w akcji”, artystycznego przedsięwzięcia, które podczas wakacji szturmem zdobyło Częstochowę – poszczególne ulice, Plac Biegańskiego i w końcu Miejską Galerię Sztuki. W wolnych chwilach Szymon maluje i wróży z poezji współczesnej.

MIASTO: Nie potrafię jednoznacznie zdiagnozować, co nie tak jest z Częstochową. Skąd ten problem z imprezami i frekwencją? Może zamiast się nad tym głowić, lepiej po prostu robić swoje. Nie oglądać się na popyt i podaż, tylko konsekwentnie tworzyć rzeczy niszowe i alternatywne. W ten sposób krok po kroku zaszczepiać w ludziach wrażliwość na tego typu działalność.

PLANY: Pomysłów na najbliższy okres mi nie brakuje i z pewnością będę chciał znów coś zorganizować w Częstochowie. Tylko zamiast o tym opowiadać wolę skupić się na działaniu. Czasem w tym mieście za dużo się mówi.

Piotr Nita

– poeta, filmowiec, dramaturg, redaktor, reżyser, animator - kultura fascynuje go na wielu poziomach. Spiritus movens licznych częstochowskich wydarzeń (m.in. Przychodni Poetyckiej, Niemego Grania). Przez lata jego oczkiem w głowie był Teatr Autorski Blee.

MIASTO: Przecież ją zmieniamy (my, animatorzy i artyści; ją, Częstochowę), każdą jedną akcją dokładamy cegiełkę do nowego wizerunku miasta. Raczej z optymizmem patrzę w przyszłość zwłaszcza, że widzę jaskółki dobrego. Za największą bolączkę uważam rozdrobnienie projektów i działań – przeważają oszczędne, skromne działania dla grona sprawdzonych fanów. Oczywiście, że wygodniej jest pracować samemu, lub w bardzo ścisłym zespole. Ale rzutuje to na efektywność, rozmach projektów i utrzymuje niski poziom oferty kulturowej miasta.

W czym upatruję zapowiedzi zmian? W konsolidujących się powolutku środowiskach oraz w rozkwicie mediów czułych na kulturę. Powstałe z martwych Co, Gdzie, Kiedy śmiga wyśmienicie. Szata graficzna, merytoryka, dyskusja, wszystko super - nawet tworzy relacje video z większych imprez i udostępnia je w necie. Jak na Częstochowę poprzeczka poszła w górę. Aleje3 to również przykład takiego Łazarza. Wspólnym ożywczym czynnikiem wydaje się odmłodzenie kadry - ten zastrzyk wigoru i kompetencji, większej

styczność z aktualnymi oczekiwaniami dotyczącymi podawania kultury. Zachęcająco rozkręcająca się także czewka.tv, a stacjaczestochowa.info dalej dobrze robi swoje. Wokół tych redakcji tworzy się już środowisko, wymiana poglądów, pomysłów – dobry zaczyn. Świadomie pomijam oczywistą korzyść płynącą z pracy tych mediów – pomoc w dotarciu do widza, słuchacza, fana. To w tym przypadku pochodna.

Oczywiście owa konsolidacja to dopiero wstęp – rozwarstwienie jest dość znaczące i dopiero uczy się ze sobą rozmawiać. Myślę jednak, że ruszy to z kopyta, gdy uda się kilka oddolnych, nowych projektów i dobre doświadczenia zachęcą wszystkich do kooperacji. A małe *featuringi* międzydyscyplinarne pojawiają się coraz częściej. Szkoda, że międzypokoleniowe rzadziej, lecz niebawem i na to przyjdzie czas, podobnie jak na współpracę zakrojoną na szerszą skalę.

Pozostaje tylko mieć nadzieję, że instytucje kultury podchwycą ten trend i otworzą się na nowe inicjatywy, bo nie każda działalność animacyjna lub artystyczna nadaje się do klubów i raczej trudno by było kluby ochrzcić ostoją kultury w Częstochowie. Jednak ten trend jest wyraźny.

PLANY: Rok 2011 zapowiada się dość interesująco. Całkowitą nowinką jest dla mnie konieczność dość detalicznego zaplanowania działań na cały rok.

Poza działaniami w ramach moich obowiązków w Liceum ALA – czyli prowadzeniem pracowni literackiej, próbami z Teatrem Integracyjnym ALA, organizacją 3 imprez w tym drugiej edycji Śpiewobrania; oraz poza moją pracą w GOK Mykanów; mam zamiar kontynuować działalność Przychodni Poetyckiej – być może w kooperacji z ROK-iem, (z którym w tym roku współorganizuję Ogólnopolski Konkurs Poetycki im. H. Poświatowskiej). Zakładam również, że w jakiejś formie uda mi się utrzymać funkcjonowanie „Niemego

Grania", choć chyba przekażę część obowiązków komuś innemu, a sam wycofam się nieco. To dobra strategia animacji – jeżeli powołany przez animatora projekt sam się kręci, animator powinien wykonać krok w tył i zająć się czymś innym.

Teatr Blee natomiast stoi na progu rozwiązania. Myślę, że działania okołoteatralne podejmowane będą już w innych formułach. Jeden spektakl w przygotowaniu – przeciągającym się nieco – w oparciu o prozę Emanuela Gretkowskiej, która zaaprobowała pomysł i troszkę nam kibicuje. Dojrzeła jeden projekt multidyscyplinarny, którego przedsmak pokazaliśmy podczas Dni Książki – AntyTourNow. Poza skrupulatnie rozrysowanym planem 2011 pływa gdzieś sobie obok, bardzo ważny dla mnie projekt - czyli moje wysiłki dotyczące wydania książki poetyckiej. Sprawa w toku.

Fight This Generation

– grupa młodych ludzi, którzy uświadomiwszy sobie, że nie mają szans w Częstochowie usłyszeć na żywo muzyki jaka ich interesuje, zamiast obrażać się na miasto, po prostu sami zaczęli organizować koncerty. Pod szyldem FTG, od 2008r., odbyło się piętnaście imprez, na których można było usłyszeć głównie młodą, gitarową muzykę. Zazwyczaj za symboliczne 5 złotych.

MIASTO: Co do pytania o szanse miasta, by stało się ono przychylnie młodej kulturze to raczej nie widzimy na to większych perspektyw. Ludzie tutaj zamiast wydać grosze na bilet i zainteresować się tym, co ciekawego tworzą młodzi artyści, wolą po prostu wydać te pieniądze w klubie obok na piwo, gdzie nie ma opłat za wstęp. Mówimy to głównie w kontekście kultury muzycznej, bo o sytuacji w innych dziedzinach orientujemy się zdecydowanie gorzej.

Rozbudowanie muzycznej oferty kulturowej też raczej mija się z celem. W naszym mieście nie ma kultury słuchania muzyki na żywo i dominuje filozofia „rejsowego” inżyniera Mamonia, który mówił, że podobają mu się te melodie, które już raz słyszał. W dużych miastach jest to normalne, że ludzie chodzą na koncerty, zespołów, których nie znają, a przy tym płacą za bilet znacznie więcej, niż zapłaciliby w Częstochowie. Tymczasem u nas, taka sytuacja nadal pozostaje w sferze marzeń. I czy warto się jeszcze starać? Wydaje nam się, że tak. Tylko, że niestety nam już zabrakło sił.

PLANY: Niestety to koniec. Koncert Kyte, 5 grudnia będzie ostatnim w ramach naszej inicjatywy. Po Fight This Generation pozostaną jednak miłe wspomnienia, a także projekty muzyczne członków FTG: Elephant Stone i Płaci Ci Cowbell Television.

Anka „Fugazi” Biernacka

– artystka, która wytrwale i konsekwentnie krzawi w naszym mieście sztukę performance i body art. Choć jej działalność rozlewa się również po różnych rejonach Polski, a także za jej granicami. Z sukcesami romansuje z twórczością teatralną. Była pomysłodawczynią i organizatorką Festiwalu Działań Parateatralnych i Performance’u „OFFsceniczny”, który odbył się w maju 2006 roku w Częstochowie.

MIASTO: Wydaje mi się, że szansa jest zawsze kiedy jest nadzieja. A ja tę nadzieję mam. I na pewno warto się starać, by zmieniać nie tylko kulturalną stro-

nę Częstochowy, ale żeby zmieniać w ogóle przestrzeń w jakiej się żyje. Całkowitej stagnacji i lenistwu mówię stanowcze NIE. Jestem przekonana, że nasze miasto ma spory potencjał, tylko ukryty jest on gdzieś po domach.

Sama nie uczestniczę jakoś szczególnie aktywnie w przedsięwzięciach kulturalnych, jakie oferuje Częstochowa, ale wiem, że jest tego sporo. Jeśli chodzi o młodą kulturę, to nasze pokolenie chyba nie jest w stanie „przebić” się do świadomości 60 czy nawet 50 latków, ale na szczęście skutecznie dociera do rówieśników poprzez internet. Natomiast zarówno starsi jak i młodszy nie zostali w moim odczuciu odpowiednio przygotowani do tego aby z propozycji kulturalnych korzystać. Recepta na obecny stan rzeczy – praca, praca i jeszcze raz praca, docieranie do ludzi, włączanie ich w działania, zaszczepianie potrzeby uczestnictwa w kulturze.

Myślę, że szansą na ożywienie kulturalnej tkanki miasta byłaby zakrojona na szeroką skalę współpraca animatorów z różnych środowisk, również instytucji publicznych. Nie chodzi mi o dyskusję i debaty, bo to przelewanie z pustego w próżne, ale o otwarcie się na innych i chęć dzielenia się tym co mam, co wiem, co potrafię. Bez usilnej potrzeby czerpania z tej współpracy korzyści materialnych. Wiem, że to może idealistyczne myślenie, ale tak już mam.

PLANY: Nie lubię dużo opowiadać o planach, bo jak się za dużo nagada, to później jakoś to nie wychodzi. Ale na pewno chciałabym zorganizować w Częstochowie kolejną prezentację spektaklu „M.” (na podstawie prozy Marty Dzido pt. „Małż”) – tym razem w jakiejś bardziej teatralnej przestrzeni, albo takiej, która nie narzuca rezygnacji z założeń spektaklu. Myślę również o spektaklu dwuosobowym na podstawie gotowego tekstu. I pewnie prędzej czy później zostanie on zrealizowany. Kiedy? Jeszcze ciężko mi to określić.

Trudniejsza sprawa jest z określeniem planów związanych z performance. Czerpię bezpośrednio inspirację z życia i z tego co się dzieje wokół, więc trudno przewidzieć kiedy i który z nich uda się zrealizować.

Festiwal OFFsceniczny to kwestia złożona, ponieważ jego nowa edycja nie zależy tylko ode mnie. Kluczowa jest rola urzędników decydujących o przyznawaniu funduszy na działania kulturalne w naszym mieście. I to tyle w tym temacie. Mówiąc rzeczowo: jak dadzą kasę, festiwal będzie, jak nie dadzą, to ciężko będzie go zorganizować w formie, w jakiej bym chciała. Trochę myślę też o powrocie do idei „Teatralnej lekcji”. Ale do tego, bez dwóch zdań, potrzebna jest chęć współpracy osób reprezentujących jakiś lokal, lub instytucji publicznych.

Studenckie Koło Teatralne „naJana”

– przedstawiciele rzadkiego gatunku częstochowskich studentów zaangażowanych w działalność kulturalną. Poza twórczością stricte sceniczną, regularnie czytają dramaty współczesne w Iluzja Alamo Music Club.

MIASTO: W Częstochowie jest naprawdę wielu młodych ludzi, którym zależy na kulturze, chcą się zaangażować i mają pomysły. Problemem jest komunikacja między nimi. Fajnie byłoby w jakiś sposób ich zebrać i umożliwić sobie współpracę.

Uczciwie trzeba jednak przyznać, że środowisko studenckie jest w kiepskiej formie. Zderają je tzw. „częstochowskie kompleksy”, czyli przekonanie, że gdziekolwiek indziej (a szczególnie w takim Krakowie czy Wrocławiu) jest lepiej, a u nas w mieście beznadziejnie i nic tego nie zmieni. Dlatego nie warto się starać, nie warto interesować się lokalnym życiem kulturalnym. A przecież to nieprawda. Dużych miast może nie przegonimy, ale swoje do zaoferowania mamy. Nawet w pograżonej w kryzysie studenckiej braci, coś jednak się dzieje: jest koło poetyckie, koło filmowe, bliskie związki z lokalnym środowiskiem kina offowego.

Jednak, by Częstochowa mogła zrobić zdecydowany krok do przodu, musimy wyrwać się z błędnego koła, w którym ludzie nie chodzą na dobre kulturalne imprezy, bo z góry zakładają, że nic fajnego w Częstochowie nie może się zdarzyć, a ciekawy repertuar topnieje w oczach, bo są ciągle problemy z frekwencją.

PLANY: Z nowych rzeczy pracujemy właśnie nad baśnią „Królowa Śniegu”, a po głowie chodzi nam większy spektakl oparty na motywach słowiańskich i pogańskich. W najbliższych planach mamy także przedstawienie słowno-muzyczne na podstawie poezji Skamandrytów oraz reaktywację spektaklu „Siódmy Anioł” inspirowanego wierszami Zbigniewa Herberta i „Mówię kamień...” na motywach twórczości Haliny Poświatowskiej. Natomiast z „Chórem Trojańskim” zostaliśmy zaproszeni na Międzynarodowy Przegląd Teatrów do Wilna. Bieżących informacji można szukać na naszej stronie internetowej [www.najana.kgb.pl].

Ewelina Ignaszak-Stolarska

– przedstawicielka Regionalnego Ośrodka Kultury w Częstochowie. Instytucji która przez to, że zajmuje się nie tyle miastem, co całym regionem częstochowskim, postrzegana jest trochę peryferyalnie. A przecież znajduje się ona w centrum miasta i w centrum jego problemów.

MIASTO: Częstochowa na chwilę obecną jest miastem prowincjonalnym w sensie nie tylko inwestycji, ale także kulturowej świadomości. Zatem jakiej

możemy się spodziewać interesującej kulturowej oferty? Wierzę jednak, że wśród częstochowian jest spora grupa odbiorców, twórców oraz animatorów kultury, z odmiennym gustem niż masowy. Bardziej świadomych swoich potrzeb, poszukujących nowych trendów w kulturze i sztuce. I to oni mogą zmienić oblicze tego miasta. Potrzeba tylko impulsu, chęci i trochę pieniędzy. Dlaczego do tej pory Częstochowa nie ma żadnego festiwalu z prawdziwego zdarzenia, podczas którego młoda kultura mogłaby świetnie się promować? Spójrzmy na Śląsk – w końcu jesteśmy miastem tego województwa- jakiego kalibru imprezy tam się dzieją, jakie nazwiska są zapraszane, jakie zespoły... Nie dziwne, że Częstochowa ma problemy z frekwencją na imprezach, gdy tak miała jest oferta kulturowa. Lepiej pojechać do innego miasta, żeby coś ciekawego zobaczyć, przeżyć. np. Festiwal Ars Cameralis. Czy u nas nie mogłyby się odbywać tego rodzaju wydarzenia? Czy warto się starać, by zmienić tę sytuację? Zawsze warto.

PLANY: ROK nie jest instytucją działającą stricte w obszarze miasta Częstochowy - ale regionu częstochowskiego. Warto jednak wspomnieć, w kontekście rozwoju młodej kultury, że w 2011 r. planujemy interdyscyplinarny projekt wymiany kulturalnej młodych zdolnych z naszego regionu i Niemiec.

Monstfur

– to chyba najaktywniejszy i najbardziej rozpoznawalny reprezentant streetartu w Częstochowie. Jego niesamowite szablony na stałe wpisały się w krajobraz miasta. Estetycznie zawładnięta przez niego przestrzeń budynków byłego Welnopolu oraz „kładka galerii” powinny stać się punktem obowiązkowym wszystkich wycieczek turystycznych. Nam udało się przeprosić jednego z podopiecznych tej postaci.

MIASTO: Częstochowa to miasto wyludniające się. Wśród młodych, kto sprytniejszy, kto zdolniejszy ucieka stąd. Jeśli ktoś ma ambicje, to na studia wybiera się na uczelnie wrocławskie, krakowskie, ewentualnie do Katowic czy Warszawy. A po studiach rzadko kto tu wraca. To są olbrzymie straty potencjału ludzkiego. Dodatkowo swoje zrobiła fala „emigracji za morze” po wstąpieniu do UE. Trudno więc się dziwić, że wieczorami, poza weekendem, w mieście panuje cisza i spokój. Puste ulice, wszystko śnięte, nie chce się wychodzić z domu.

Mimo to, wierzę w to miasto z subiektywnych, sentymentalnych pobudek. Czuję się mocno z Częstochową związany. Mieszkam tu od zawsze, a wszelkie próby wyjazdu stąd - czy to na studia, czy to dla przygody, kończyły się dla mnie nienajlepiej. Wracałem tu zde gustowany, aż w końcu znajdowałem ukojenie w znajomych stronach i zakamarkach. Dziś patrzę na Częstochowę jak na kawałek czystego pola do zaorania. Miejsce, które na nowo mogą zagospodarować pomysłowi ludzie z energią. Jesteśmy w innej sytuacji niż duże miasta i to też może być plusem.

PLANUJ: Plany Monstfura z pewnością w dużym stopniu związane są z Częstochową. Tu jest jeszcze sporo do zrobienia, bardzo dużo fajnych miejscówek do zaaranżowania. To jego miasto, ma tu swoje pracownice i tu najłatwiej jest mu się odnaleźć. W lutym będzie wystawa w Miejskiej Galerii Sztuki - cała duża sala dla monstfura. Dodatkowo wstawiane są zupełnie nowe obrazy na kładce, czeka też cała lista streetowych miejscówek na malowanie... Jednym słowem jest tu co robić. Co do aktywności poza miastem generalnie Monstfur działa gdzie tylko ma opcję. Aktualnie planuje kilka wystaw i akcji w Warszawie, prawdopodobnie też będzie można zobaczyć go w Krakowie. Przymierza się również do wyjazdu do Paryża.

Ada Plaszczyk i Katarzyna Szewczyk

– **reprezentantki Ośrodka Promocji Kultury „Gaude Mater”. Jednej z kluczowych instytucji w mieście, która opiekuje się okrętami flagowymi częstochowskiej kultury: Międzynarodowym Festiwalem Muzyki Sakralnej „Gaude Mater” oraz Nocą Kulturalną.**

MIASTO: Częstochowa zdecydowanie ma potencjał, aby stać się atrakcyjna kulturalnie. To miasto pełne ciekawych miejsc i ludzi. Posiadamy instytucje kultury i kluby, które zajmują się projektami z różnych dziedzin sztuki. Mamy szkoły artystyczne i licea ogólnokształcące, utrzymujące wysoki poziom edukacji, które również proponują artystyczne zajęcia dla młodzieży.

Próby zmian na lepsze wciąż trwają i mamy wrażenie, że stają się coraz bardziej intensywne. Od kilku lat częstochowscy animatorzy kultury i młodzi, kreatywni ludzie próbują rozruszać ofertę kulturalną naszego miasta proponując ciekawe koncerty, wystawy, happeningi itp. W naszym mieście od pewnego czasu każdego dnia odbywa się co najmniej jedna impreza. W wyborze z pewnością pomaga nam atrakcyjny informator „Co, gdzie, kiedy”, który z miesiąca na miesiąc prezentuje coraz bogatszą ofertę.

Frekwencja zależy od reklamy i przede wszystkim edukacji. Jeśli naszym priorytetem staną się imprezy i projekty dla młodzieży, zdobędziemy ich zaufanie i zainteresowanie. Będą chcieli być częścią tego miasta. Nawet jeśli wyjadą z Częstochowy, będą tu wracać, jako wykonawcy i odbiorcy imprez kulturalnych. Koło zacznie napędzać się samo. Dlatego warto próbować i starać się rozwijać kulturę w Częstochowie. Uda się to, jeśli organizatorzy imprez będą współpracować, rozmawiać, wymieniać się uwagami i pomysłami,

wspierać się nawzajem.

Problemem pozostaje natomiast środowisko akademickie, dużo mniejsze niż w Krakowie czy Wrocławiu, które nie wykazuje wielkiego zainteresowania ofertą kulturalną. Dostarcenie do studentów jest ogromnym wyzwaniem.

PLANUJ: Ośrodek Promocji Kultury „Gaude Mater” już od jakiegoś czasu właśnie poprzez projekty edukacyjne stara się wychowywać i zdobywać kolejnych młodych odbiorców kultury. Przykładem takich projektów jest „Poligon kulturalny”, „Akademia Pana Chopina” czy „Etno*c” podczas Międzynarodowego Festiwalu Muzyki Sakralnej „Gaude Mater”. W 2011 roku będziemy kontynuować te projekty. Planujemy również udoskonalać dotychczasowe imprezy („Noc kulturalna”) i szukać sposobów na przybliżenie sztuki wysokiej młodym, niedoświadczonym odbiorcom i amatorom („Strofa debiutu”, „Classic Tea”). Mamy też kilka zupełnie nowych pomysłów, skierowanych na sztuki alternatywne i rozwój młodych częstochowskich talentów artystycznych i animatorskich, do których realizacji będziemy zmierzać. Na razie jednak nie chcemy zdradzać szczegółów, żeby nie zapeszyć.

Kacper Kapsa

– **DJ, znany również jako Pnk.Discorp i Johnny Brooklyn, który z niebywałą determinacją stara się serwować to, co w tanecznej muzyce najświeższe. Wciąż organizuje kolejne imprezy, zaprasza kolejnych gości, żeby tylko częstochowianie osłuchali się z tym co dobre. Znany jest z tego, że z taką samą pasją kręci płytami, gdy na parkiecie są dwie osoby, dwadzieścia i sto.**

MIASTO: Nadzieja dla miasta jest zawsze. Nie wolno się zniechęcać problemami frekwencyjnymi, czy mniej udanymi imprezami. Trzeba za to wciąż szukać nowych sposobów promocji, bo w niej jest siła.

Wielu dobrego robi teraz w tym temacie internet, portale społecznościowe. I trzeba brać przykład z większych miast, gdzie coraz częściej odchodzi się od promocji plakatowej w stronę reklamy szeptanej i sieciowej.

Widać ostatnio, że ludzie w mieście stają się coraz bardziej kumaci, chętniej szukają nowych rzeczy w kulturze, są bardziej otwarci. Dzięki temu szybciej niwelujemy kulturalne opóźnienia w stosunku do innych, większych miast. Nadzieją napawa również fakt, że mamy coraz więcej „koni trojańskich” w miejskich instytucjach kulturalnych. Młodzi ludzie mają tam coraz więcej do powiedzenia. I to jest szansa, by rozsadzać zastany beton. Zresztą już widać tego efekty. Pojawił się informator CGK, zrobiła się przestrzeń na przedsięwzięcia w stylu „Kura w akcji”, na przyszły rok zapowiadany jest festiwal kultury niezależnej Frytka OFF. Młodzi animatorzy kultury, artyści wreszcie mogą poczuć, że ktoś ich chce wysłuchać, że ich głos jest ważny. Dzięki temu, że jest wiele nowych twarzy w różnych instytucjach, jest się do kogo zwrócić o pomoc.

Natomiast największym problemem miasta jest klan ludzi: „przecież tu się nic nie dzieje”. Siedzą przed komputerem, wiecznie marudzą i nie chce się im się sprawdzić jaka Częstochowa naprawdę jest. Wzdychają do innych miast, a nie chcą zauważyć, że na miejscu gra się taką samą muzyką, organizuje się takie same imprezy. Gdyby tylko udało się przeciągnąć tych ludzi na stronę grupy aktywnie działającej i uczestniczącej w kulturalnym życiu miasta. Może wreszcie byłoby ją wyraźnie widać na tle większości młodych częstochowian, dla których niestety impreza i muzyka to tylko RMF MAXXX i kiepskie dyskoteki.

PLANUJ: Z pewnością konsekwentnie będę rozbudowywać cykl imprez NU DISCO NIGHT zapraszając do częstochowskiej „Rury” coraz więcej gości z zagranicy. W styczniu w ramach tego cyklu planuję swoje urodziny i z pewnością przygotuję na tę okazję coś specjalnego. Sporo sił zamierzam włożyć również w promocję The Very Polish Cut Outs. Wiążę duże nadzieje z tym projektem, bo spotkał się on ze sporym zainteresowaniem i został zauważony przez media. Mam nadzieję, że zaowocuje to w przyszłym roku jakimś wydawnictwem na fizycznym nośniku. Liczę też, że uda się wreszcie wydać na winylu mój edit „Czerwonych gitar”.

Natomiast latem czeka nas festiwal FRYTKA OFF, podczas którego prawdopodobnie będę zawiadywał namiotem z muzyką klubową. I kilka innych plenerowych akcji z tego typu dźwiękami.

Komentarz redakcji:

Są różne strategie zaklinania rzeczywistości jeśli chodzi o problemy częstochowskiej kultury. Można udawać, że wszystko jest jak w najlepszym porządku. Można odnajdować przyjemność w ciągłym krytykowaniu i anonimowo grzmieć oburzeniem w internecie, nie ruszając się z wygodnego fotela. Można w końcu wykorzystać trudną sytuację do konstruowania przedwyborczych frazesów.

Jest jednak grupa ludzi która marzy o czymś więcej. I mimo dominującej narracji „Częstochowa to złe miasto dla kultury” idą pod prąd. Na przekór realiom starają się dodać koloru miastu. Czasem w ramach służbowych obowiązków, ale zazwyczaj zupełnie z boku. Nie kalkulując ile można na tym zyskać, zarobić. Oczywiście nie dotyczy to tylko ludzi młodych, ale uznaliśmy, że ta właśnie grupa zazwyczaj bywa pomijana i niedoceniana. Dlatego te kilka stron powyżej postanowiliśmy oddać im, by opowiadając o Częstochowie, opowiedzieli nam też o sobie samych.

Wyszedł z tego pejzaż o sporym ładunku optymizmu. Częstochowscy młodzi artyści i animatorzy potrafią być bardzo krytyczni i wprost mówić o problemach z którymi muszą się borykać, ale przeważnie bije z nich wielka chęć działania i wiara w to, że będzie lepiej. Zdarzają się co prawda przypadki totalnego wypalenia, ale większość przepytanych sprawia wrażenie śmiałków zahartowanych w walce z wszelkimi trudnościami. Czytając o ich planach, trudno nie zarazić się tym optymizmem. A przecież to tylko maleńki wycinek, dużo szerszego zjawiska.

Diagnozy, które młodzi stawiają miastu w swoich wypowiedziach, często się pokrywają. Dominuje przeswiadczenie, że wcale nie jest tak źle jak mogłoby się wydawać. W kulturze dzieje się sporo, tylko częstochowianie nie chcą się o tym przekonać. Wolą narzekać zamiast wyjść z domu. Co szczególnie bolesne jest w przypadku środowiska studenckiego, które w naturalny sposób powinno nakręcać młodą kulturę. Powtarzają się też postulaty o potrzebie szerszej współpracy i lepszej komunikacji pomiędzy różnymi kulturowymi środowiskami. Co zaskakujące nikt prawie nie wspomina o finansach, nikt nie wysuwa tezy, że odkręcenie kurka z dotacjami na kulturę jest lekiem na całe zło. Za to niektórzy zauważają, że i bez tego, nasze miasto ostatnio się zmienia. Że nastąpiło, może na razie nieznacznie, ale za to bardzo dobrze rokujące na przyszłość, ożywienie. Jego sztandarowym przykładem jest pojawienie się w nowej formie informatora „Co Gdzie Kiedy”.

Zatem z okazji zbliżającego się Nowego Roku, życzymy czytelnikom i wszystkim mieszkańcom Częstochowy, żeby ten wiatr zmian rozhulał się na dobre. I żeby głos tego środowiska, które w pewnym małym wycinku zaprezentowaliśmy, był coraz mocniej i coraz wyraźniej słyszalny.



Nowa słowiańska muzyka

z zespołem *Dagadana*
rozmawia Rafał Salamucha

zdjęcia: Rafał Owczarzak

Rafał Salamucha: Tydzień temu rozpoczęliście trasę koncertową promującą waszą płytę *Maleńka*. Zainaugurowaliście ją koncertem na który zaprosił Was zespół Raz Dwa Trzy. To chyba nie był taki zwyczajny koncert?

Daga Grygorowicz: To były urodziny zespołu, który ma 20 lat. Byliśmy i jesteście nadal bardzo zaszczytzeni, że byliśmy jedynymi gośćmi i że byliśmy w ogóle gośćmi tego koncertu. Bo to było ogromne przedsięwzięcie: nagrywanie płyty DVD razem z Orkiestrą Hanseatica pod dyrygenturą Michała Nestorowicza. Wielkie wyróżnienie i stres dla Nas, trzynaście kamer i ciężar jaki trzeba było udźwignąć. Dlatego, że my, zespół który gra ze sobą dwa lata musieliśmy zagrać przed zespołem, który już „troszeczkę” dłużej występuje.

Dana Vynnytska: Nie graliśmy tam swoich utworów. Mieliśmy szczęście grać utwór *Jestem tylko przechodniem* zespołu Raz Dwa Trzy we własnej aranżacji.

R.S.: A jak zareagowaliście na zaproszenie?

D.G.: Byliśmy w siódmym niebie. Przyjaźń między nami a Raz Dwa Trzy zaczęła się, kiedy poprosiliśmy Adama Nowaka o recenzję płyty. On się zgodził, spodobała mu się i poznawaliśmy się na ich koncertach. Potem oni przyszli na nasz koncert do Trójki. Powoli nawiązała się czysta przyjaźń. Nikt z nas nie myślał o czymś takim, że kiedykolwiek będzie nam dane grać obok tego zespołu, a już na pewno nie przy takim święcie. Mam wrażenie, że oni widzą w nas siebie sprzed dwudziestu lat. To jest bardzo fajne, że nie zapomnieli po tylu latach, że są zespoły młode, które muszą jakoś zacząć.

R.S.: Wasza trasa to dwadzieścia pięć dni z rzędu, codziennie koncert. Czujecie się zmęczeni?

Mikołaj Pospieszalski: Jest to dosyć wyczerpujące, ale dobre doświadczenie muzyczne. Jest to dla nas miły czas ponieważ wspólnie gramy i przebywamy ze sobą. I to jest najważniejsze.

D.G.: Kluczowe jest to, że zespół nie istnieje, kiedy nie gra koncertów. Oczywiście moglibyśmy się zamknąć w pomieszczeniu, nagrywać miliony płyt, mając miliardy dolarów. Zakładam, że nikt z nas nie ma kopalni diamentów...

D.V.: Jak to nie? (śmiej). ...

D.G.: Sens największy dla muzyka, kiedy może spotkać odbiorcę. Bo to, że jeździmy setki czasami tysiące kilometrów podczas trasy jest równoważone, a właściwie podwójnie ładowane przez emocje, jakie towarzyszą koncertom. Czasami na koncercie jest bardzo dużo ludzi. Wczoraj mieliśmy pierwszy koncert, na który przyszło siedem osób. To było w Otwocku. Zadzwonili do nas organizatorzy, żebyśmy nie grali. A ja powiedziałam jasno. Proszę Pani, chociażby przyszła jedna osoba, to my zagramy. My gramy dla każdego z osobna. Każdy człowiek jest ważny. Ten koncert był bardzo magiczny. Nie tylko uczył nas pokory, ale także było widać, że publiczność, która przyszła, starała się klaskać tak, jakby klaskała cała sala.

R.S.: A jak trafiliście do Maroka, na Festiwal Ludów Pustyni?

D.V.: To była historia bardzo przyjemna i przypadkowa. Graliśmy w Warszawie, i na tym koncercie był człowiek, któremu bardzo się spodobał. Cały tydzień mówił żonie, ile straciła, że nie poszła na nasz koncert. Z drugiej strony jego żona jest przyjaciółką pani, pracującej w ambasadzie. I ta pani zadzwoniła do swojej koleżanki, z pytaniem czy zna jakieś nowości w polskim świecie folkowo – alternatywnym. I od razu opowiedziała historię ze swoim mężem, który był na naszym koncercie. Z tego się zaczęła wielka wymiana maili. Z początku nie chcieliśmy się cieszyć. Bo taka wyprawa do Maroko brzmiała strasznie magicznie. Nie mogliśmy uwierzyć, aż nie weszliśmy do samolotu. I przypadkiem losu znaleźliśmy się w zupełnie innych realiach. Ale poznaliśmy ludzi z otwartymi sercami i interesującą muzyką.

R.S.: Mnie się skojarzyło, gdy czytałem, że to był Festiwal Ludów Pustyni, że to dlatego iż Mikołaj jest z Częstochowy, a niektórzy mówią, że Częstochowa jest pustynią kulturalną... (śmiej)

M.P.: Częściowo jest to prawda. Pustynią kulturalną w sensie wydarzeń. Natomiast Częstochowa jest niesamowicie bogata w muzyków. Jazzowych też, i bynajmniej nie mówię tu o sobie. Jest dużo młodszych ode mnie osób, które grają na wysokim poziomie. Może to się nie przekłada na wydarzenia, ale nie popadajmy w kompleksy. Trzeba iść naprzód z podniesioną głową i nie dać się zaszufladkować. Bo to zaszufladkowanie może powoduje pustynię kulturalną?

R.S.: Zapraszamy publiczność do wspólnej zabawy i prosicie o przyniesienie instrumentów – przeszkadzajek – zabawek. Jaki był najdziwniejszy instrument – przedmiot, przyniesiony na Wasz koncert?

D.G.: Najdziwniejszym, zgłoszonym drogą mailową, był orzełek montański wydający dziwne dźwięki. Nie wszyscy pokazują co przynieśli, my słyszymy tylko ze sceny różne odgłosy. Jest dużo kreatywnych ludzi. Nie ważne co kto przyniesie. Najfajniejsze jest to, że ktoś przed koncertem się do niego przygotowuje.

D.V.: Najbardziej uwielbiam, moment, gdy przestajemy grać i brzmi cała

sala. To była idea Dagi. Jak zaczynaliśmy działalność, Daga miała przypadkiem jakąś zabawkę i przetwarzała elektronicznie dźwięk. Zwróciła wtedy uwagę, jak to interesująco brzmi. Dostała wielkiej inspiracji, i wszędzie zaczęła szukać tych dźwięków. Kiedy przychodzi publiczność, każdy przynosi swój instrument i wydaje dźwięk, tworzy się niesamowita orkiestra.

D.G.: Jest jeszcze jedna fajna rzecz, że niektórzy przynoszą zabawki z dzieciństwa. Ja mam ze sobą starą rozlatującą się pozytywkę, która ma dwadzieścia siedem lat. Gra i funkcjonuje. Tak też wielu ludzi przychodziło po koncertach i pokazywali swoje zdezelowane zabawki, które mogłyby ulec zapomnieniu, a jednak ożywają. I ludzie wspominają swoje dzieciństwo.

R.S.: A jak to się wszystko zaczęło? Na początku była Daga i Dana?

D.G.: Tak, - na początku była Daga i Dana, a wszyscy poznaliśmy się w Krakowie.

D.V.: Na początku były warsztaty w International Summer Jazz Academy In Cracow.

D.G.: Tak, wszyscy poznaliśmy się na warsztatach jazzowych. I zaczęła się przyjaźń pomiędzy Daną a mną. Pewnego razu, jeszcze ze swoim byłym zespołem, pojechałam do Lwowa w odwiedziny do przyjaciół. I wtedy Dana dostała informację, że otrzymała stypendium „Gaude Polonia” polskiego Ministra Kultury. Dzięki temu mogła przyjechać do Polski na pół roku. Wtedy powiedziałam od razu, Dana to świetna idea, robimy zespół. Ona spojrzała na mnie jak na ostatniego pomysłu i powiedziała: jak, we dwójkę? No pewnie, że we dwójkę. Na pierwszej próbie powstało trzynaście utworów, żadnego nie pamiętałyśmy następnego dnia.

D.V.: Byłyśmy zachwycone pierwszymi utworami. Potem, zaczęłyśmy robić utwory, które już mogliśmy potworzyć, chociażby raz. I profesjonalnie zaczęła się potrzeba basu. Ponie-

waż było mi ciężko, gdyż gram na fortepianie i śpiewam, grać bas i akordy, a przy tym improwizować i śpiewać. Nie ogarniałam wszystkiego. I powiedziałam Dadze, że chcę żeby dołączył kontrabasista. Daga wtedy zaproponowała Mikołaja. A pamiętała go z warsztatów, gdzie łączyła nas bardzo miła relacja. Po pierwszej próbie która była 27 czerwca 2008 roku było wiadomo, że nie ma innego wyjścia jak grać razem.

R.S.: Jaka świetna pamięć do dat.

D.G.: Bo to jak ślub.

D.V.: A swoje dwa lata świętowaliśmy w Częstochowie.

M.P.: Byliśmy w Częstochowie przejazdem. Nie graliśmy koncertu. Ale była uroczysta kolacja i uczciliśmy równe dwa lata.

D.G.: I chcielibyśmy dołożyć do tej dwójki zero. Tak jak Raz Dwa Trzy.

R.S.: W bardzo wielu źródłach, mam wrażenie, że wszyscy i wszędzie rozpisują się o międzykulturowym projekcie, o tym jak łączyście dwie kultury polską i ukraińską. I ja mam wrażenie, po tych informacjach w mediach, że łączyście jakieś dwa różne światy, Ziemię i Marsa. Czy między Polska i Ukrainą jest aż tak wielka przepaść?

D.V.: Nie ma wielkiej przepaści. Z jednej strony jesteśmy bardzo podobni, bo ja się nie uczyłam specjalnie polskiego języka [Dana mówi bardzo dobrze po polsku – przyp. red.], ale z drugiej strony - strasznie różni i to nas cały czas cieszy. Na przykład my takie klapki nazywamy Wietnamki, a wy nazywacie Japonki. I od takich małych drobiazgów zaczyna się wymiana naszymi różnicami. Jeżeli byłaby kulturowa przepaść, bo ja byłabym z Afryki, to nie byłoby między nami kontaktu. To charakterystyczne jest dla naszej słowiańskiej natury, że wrzuszmy i śmiejemy się w tych samych momentach. Bo mamy bliskość.

R.S.: Dana, a co byś robiła teraz w swoim kraju, gdybyś nie przyjechała do Polski na stypendium?

D.V.: Gdy przyjechałam do Polski, to już grałam w zespole ukraińskim, który istnieje i kwitnie. Zawsze zajmowałabym się muzyką. Ale jestem bezgranicznie wdzięczna temu programowi i osobom, które go wymyśliły. Między innymi Bogumiłą Berdychowska, która bardzo wiele zrobiła dla kultury środkowowschodniej. Ten program dla mnie i dla innych artystów zrobił bardzo dużo. Z jednej strony pozwolił nawiązać kontakty, których bym nie nawiązała będąc w domu. Z drugiej strony pomógł mi, jako osobie fascynującej się jazzem. Na Ukrainie, nie ma możliwości skorzystania z edukacji jazzowej na wysokim poziomie. Myślę, że za tym programem, który robi Narodowe Centrum Kultury jest przyszłość. Nie tylko kulturalna, ale taka globalna, bazująca na przyjaźni, miłości i dialogu.

R.S.: A jak jesteście odbierani w Twoim rodzinnym kraju? Czy publiczność ukraińska różni się czymś od polskiej?

D.V.: Zagraliśmy parę koncertów na Ukrainie. Na festiwalach i w klubach. Gdzie byśmy nie grali, zawsze jest jedna rzecz, która łączy publiczność na naszych koncertach. Wszyscy siedzą bardzo uśmiechnięci. Odbiór w sumie jest identyczny. Mamy dużo wspólnego i podobnie odbierana jest nasza sztuka na Ukrainie i w Polsce. Zresztą i w Maroko. W Maroko to w ogóle był dla nas szok, jak ludzie nas odbierali. Nie mogliśmy się nacieszyć takim ciepłym odbiorem.

R.S.: Mikołaj, czy to, że masz ogromne rodzinne zaplecze muzyczne

pomaga Ci w życiu muzyka? Czy wykorzystujesz pewne możliwości, znajomości dla dobra zespołu?

M.P.: Znajomości są, ale nie wiem czy one są jakoś specjalnie przez nas wykorzystywane. Jest to częściowo dla mnie dobre i ludzie do mnie podchodzą z pewnym respektem. Natomiast też są stawiane bardzo wysokie wymagania muzyczne. Jest dużo pozytywów. No i przede wszystkim bardzo dużo od taty się nauczyłem. Mój tata też jest basistą i bardzo wiele cennych rad i uwag mi daje. I może dlatego, że on jest basistą, ja też jestem basistą. Ponieważ miałem okazję widzieć go na scenie, jak gra i zawsze mi to imponowało. Jest to coś, co mnie nakierowało na muzykę. Także to, że w całej mojej rodzinie jest muzyczny klimat i że wytrwałem do tej pory. Były okresy np. w szkole muzycznej, które były bardzo trudne, bo bardzo wysokie wymagania są tam stawiane przed dosyć młodym człowiekiem. Ale udało się. I z tego bardzo się cieszę.

R.S.: Co to są Sny Mani?

D.G.: Sny Mani to projekt Marty Filipiak, która jest performerka, malarką. Stworzyła film zaprosiwszy ponad czterdzieści osób z całej Polski, od fryzjerów przez filozofów po różnych artystów. Przebraliśmy się w stroje z jej snu. Odegraliśmy ten sen, robiliśmy choreografię do tańca i muzykę do tego filmu. Zapraszamy na stronę sny mani: www.myspace.com/snymani Trudno to ubrać w słowa, trzeba to zobaczyć.

R.S.: Jaką rolę w waszej twórczości odgrywa poezja i multimedia?

M.P.: Kilka razy mieliśmy okazję występować z VJ-em, czyli z kimś, kto robi projekcje. Współpracujemy z Anatolijem Lavrenishinem rysownikiem z Kijowa, który robi filmy animowane. Zrobił teledysk do naszej piosenki *Tango*.

D.G.: Szykujemy muzykę do jego animacji *Bila wrona*, ukończyliśmy jej nagrywanie, teraz są ostatnie mon-



taże. Być może będziemy mieć podejście do filmu długometrażowego. Ale dzięki Tolkowi dostaliśmy propozycje zrobienia muzyki do ukraińskiego programu telewizyjnego dla dzieci *Bobas Show*.

R.S.: Podobno macie w zanadrzu nowe utwory. Co to za nowości i kiedy kolejna płyta?

D.G.: Już odsłaniamy podczas koncertów po kawałku nową płytę, która będzie w marcu. Jest w tym samym klimacie, ale słycać nasz rozwój. Na tej płycie będą goście z całego świata. Nie zdradzimy na razie skąd. Ale jest dużo inspiracji z naszych podróży. Począwszy od Janka Malisza, którego spotkaliśmy w Beskidzie Niskim i od którego uczyliśmy się folkloru pogórzkańskiego, skończywszy na podróży do Maroka.

R.S.: Dziękuję za rozmowę.

Dagadana to polsko-ukraińskie trio łączące w swojej muzyce folk, jazz i elektronikę.

Zespół tworzą:

Dagmara Gregorowicz

- wokół, elektronika - pochodzi z Poznania, jest absolwentką tamtejszego Studium Piosenkarstwa im. Czesława Niemena.

Dana Vynnytska

- wokół, piano - pochodzi ze Lwowa, gdzie ukończyła Wydział Kompozycji na Konserwatorium Lwowskim. Jest laureatką programu stypendialnego Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego *Gaude Polonia*.

Mikołaj Pospieszalski

- kontrabas, skrzypce - pochodzi z Częstochowy, jest studentem Wydziału Jazzu Akademii Muzycznej w Krakowie.

W grudniu 2008 roku zespół wydał EP "Wygadana" z pięcioma utworami. Utwór Roman znalazł się na składance „We are from Poland vol.3”. W lutym 2010 roku nakładem wydawnictwa OFFSIDE ukazała się płyta „Maleńka”. Na albumie gościnnie wystąpili m.in. Gaba Kulka i Karim Matusiewicz.

Artefakt ze słówek i życia

Waldemar Skrzypczyk

Arkadiusz Frania dał się już poznać jako poeta i krytyk literacki. Książką *Jestem pomysłem Pana Boga na człowieka* odsłania jeszcze jedno swoje oblicze – tym razem prozaika. Okazuje się, że i na tym polu jest indywidualnością. W czasach nienajłaskawszych dla rozwoju kultury czytania autor proponuje lekturę prozy tak spreparowanej, by nie odstraszała objętością i z góry neutralizowała obawę przed przeciętnym czytelnikiem. Nawiązując do tradycji literackiej intymistyki (w konwencji chyba najbardziej zbliżonej do dziennika intymnego), nadaje przekazowi atrakcyjny kształt formalny: rozczłonkuje tekst na jednostronicowe fragmenty, z których każdy dzieli na dwie części odpowiadające odrębnym poziomom narracji, wyróżnionym graficznie i mającym osobnych narratorów, poziom górny – narratora pierwszoosobowego, dolny – trzecioosobowego. Tak werwicznie rozplanowane krótkie całości tekstowe, między którymi w dodatku widoczny jest na każdej stronicie mniejszy lub większy odstęp, nie tylko zostrzają czytelniczy apetyt, ale też umożliwiają ukazanie rzeczywistości z co najmniej dwu głównych perspektyw (choć w istocie jest ich więcej): z perspektywy postaci kojarzonej z autorem oraz z pozycji tajemniczego tworu nazwanego Cieniem Ara (od słów „Cień Ara...” rozpoczynają się wszystkie dolne zapisy). Obok tych naczelných figur przewijają się na kartach opowieści przyjaciele i znajomi autora wy-

stępujący pod imionami i nazwiskami autentycznych osób, szczególnie jednak rola przypada jego małżonce – Agatce, postaci, której sposób odczuwania i swoista „filozofia” jest odrębną i ważną częścią składową wpisanego w całość dzieła „świato-odczucia”.

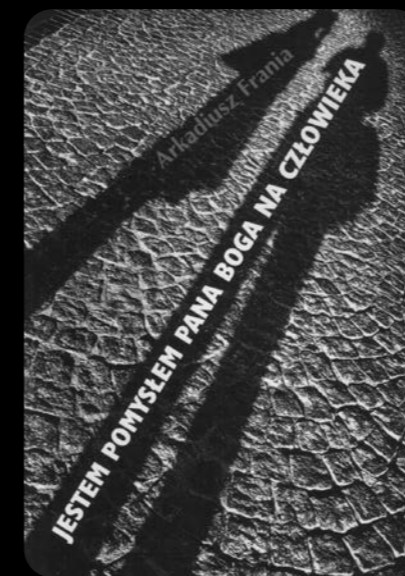
Opowieść dotyczy przede wszystkim przeżywanego przez pisarza-poetę kryzysu twórczego, który ma różne przyczyny, ale generalnie wyrasta z dramatycznie przeżywanej, starej jak świat, a zarazem wiecznie aktualnej antynomii: zwykły człowiek – artysta. Problem polega zatem na dążeniu do autokreacji w atmosferze godzenia przeciwności, zwykłości z niezwykłością. Jest to w gruncie rzeczy bój o własną tożsamość i egzystencjalne spełnienie. Przeszkodą okazuje się daleko posunięta dezintegracja osobowości przemawiającego w imieniu autora podmiotu. Żyje on i usiłuje tworzyć w stanie wewnętrznego rozdarcia czy wręcz rozproszenia, w niezgodzie z własnym „ja” będącym zaledwie częścią jego Jaźni. Przejawem tej zmultiplikowanej „wielości i różnorodności w jednym” jest wyemanowanie z „siebie” kogoś „innego” jako Cienia. Istnienie tych dwóch bytów cechuje ciągła ambivalencja. W swych odczuciach, pojęciach, ocenach, reakcjach bywają oni zgodni lub bliscy sobie, a jednocześnie niekompatybilni, a nawet zupełnie różni. Status mentalny Cienia Ara, podobnie jak narratora autorskiego, jest płynny, hybrydyczny, niespójny i wielowymiarowy (tymi samymi określeniami dałoby się zresztą scharakteryzować także „ontologię” Cienia). Toteż próba odpowiedzi na pytanie: kim właściwie jest ów Cień? – prowokuje do

rozmaitych interpretacji.

Poczuć się „pomysłem Pana Boga na człowieka”, to znaczy przyjąć na siebie szczególną odpowiedzialność za jakość i treść swojego życia, zrozumieć, że na dar tego rodzaju trzeba odpowiedzieć własnym „pomysłem na siebie”. Ten zaś powinien być zgodny z rozpoznawanym powołaniem życiowym, bo tylko wówczas rokuje nadzieję na owocowanie i „plon obfity”. Chodzi więc o to, by własną inwencją i pracą wypełnić otrzymaną „z góry” cudowną formę. Jest to niewątpliwie „praca domowa” na całe życie, która wyrwa z błogostanu stagnacji, budzi niepokój i wprawia człowieka, a zwłaszcza twórcę, w stan egzystencjalnego stresu. Co i jak uczynić, by stworzyć dzieło wyrażające w słowach prawdę o sobie? Wokół tego kompleksu zagadnień skupia się bodaj najwięcej dywagacji i refleksji zawartych w nowej książce Arkadiusza Frania. Nie przypadkiem określa on swoje pisanie mianem „neuro-powiastrki”, a gdzie indziej nazywa je „krótkimi prozami depresyjnymi”. Ale ten właśnie dominujący nurt autotematyczny jest w jego dziele najciekawszy.

Z oczywistych względów „materia”, z którą morderczo zmaga się autor, jest Słowo. Żeby jednak ten diament odbił w czystym świetle przestrzeń ludzkiego wnętrza, potrzebne jest jego cierpliwe i umiejętne szlifowanie. Warstwa językowa prozy Arkadiusza Frania stanowi jedną z największych jej wartości. Oczywiście, z uwagi na złożoność artykułowanych treści, nie zawsze jest to mowa łatwa w odbiorze, taka, której sens daje się bez trudu uchwycić w „pierwszym czytaniu”. Ilek tam wyrafinowania, precyzji, stylistycz-

nych finezji, oryginalnych konstrukcji, odświeżonych frazeologizmów, ba, odkryć w sferze myśli i wiedzy, do których doprowadziła autora właśnie jego sprawność językowa, sztuka obłaskawiania słów jako „depozytariuszy” życiowych tajemnic. Toteż, jeśli nawet proza w odczuciu autorskim ma być tylko surogatem poezji, jeśli prawdziwie wielkie dzieło, to wymarzone, przeczuwane, noszone w wyobraźni ma dopiero powstać, rzecz zamknięta w okładkach omawianego tomu jest artefaktem zawdzięczającym swoje istnienie zarówno transpozycji twórczej nabytych przez Arkadiusza Franię w realnym życiu doświadczeń, jak i jego „zabawie w słówka”, godnej szczerzego podziwu. Tym, którym literackie płody autora nie są obce, nowo wydanej książki nie trzeba polecać, tych zaś, którzy z ambitną literaturą po prostu lubią obcować, warto zachęcić do zapoznania się z *Pomysłem*, lektura ta bowiem może ich intelektualnie i duchowo tylko wzbogacić.



Arkadiusz Frania

- poeta, krytyk literacki. Urodził się 04.05.1973 r. w Przechlewie (obecnie woj. pomorskie). W 1993 r. ukończył Technikum Hutnicze w Zespole Szkół Elektroniczno-Mechanicznych w Częstochowie (technik-elektronik o specjalności: elektryczna i elektroniczna automatyka przemysłowa). W latach 1993-1994 studiował na Wydziale Elektrycznym Politechniki Częstochowskiej w Częstochowie.

W latach 1994-1999 studiował filologię polską w Wyższej Szkole Pedagogicznej w Częstochowie. Pracę magisterską nt. „Zygmunta Szwejkowskiego badania nad twórczością Prusa” obronił pod kierunkiem prof. dra hab. Zbigniewa Przybyły. W 2000 r. ukończył Podyplomowe Studium Informatyczne w Szkole Informatyki przy Politechnice Częstochowskiej w Częstochowie.

W 2003 r. uzyskał tytuł doktora nauk humanistycznych w zakresie literaturoznawstwa (Uniwersytet Śląski) na podstawie rozprawy „Powojenne dyskusje nad pozytywizmem. 1944/45-1948/49”, napisanej pod kierunkiem prof. dra hab. Krzysztofa Kłosińskiego. Debiutował jako poeta w „Dzienniku Częstochowskim. 24 Godziny” w 1993 r. Wiersze, szkice i recenzje zamieszczał m.in. w „Odrze”, „Kwartalniku Artystycznym”, „Opcjach”, „Pograniczach”, „Frazie”, „Tyglu Kultury”, „Frondzie”, „Magazynie Literackim”, „Akancie”, „Arkuszu”, „Poezji dzisiaj”, „Zeszytach Poetyckich”, „Nowym Wieku”, „Ruchu Literackim”, „Pamiętniku Literackim”, „Aspektach Filozoficzno-Prozatorskich”, „Magdalence Literackiej”, „Siódmej Prowincji”, „Gazecie Kulturalnej”, „Radostowej”, „Obrzeżach”, „Wiadomościach – 43bis”, „Ciechanowskich Zeszytach Literackich”, „Horyzontach”, „Lublinie”, „Znaj. Ogólnopolskim piśmie Stowarzyszenia Autorów Polskich”, „artPAPIER”, „Polskim Kulturalnym Podziemiu”, „sZAFie”, „Krajeńskim Kwartalniku Kulturalnym”, „Obok”, „Bulionie”, „Recogito” (Francja). Wiersze tłumaczone przez Olę Lalić-Krowicką na język serbski ukazały się w pismach serbskich: „Etna”, „Tvorac Grada” oraz na stronie www.poezija.com.pl. Członek Związku Literatów Polskich od 1998 r.

PUBLIKACJE KSIĄŻKOWE

Poezja:

na przykład mnie nie ma (1994, 1996);
powiedz mi siebie (1995, 1996);
na zimnym uczynku (1999);
ale się nie budzę (2004).

Proza:

Jestem pomysłem Pana Boga na człowieka (2010).

Krytyka literacka:

„Solidne niefarbowane retro”. *O poezji Tadeusza Gierymskiego* (2004);
Strażnicy i najeźdźcy. Zjawiska we współczesnej poezji regionu częstochowskiego (2005);
Poświatowska, Marjańska, Cichla-Czarniawska. Trzy szkice typu ziemia-ziemia (2007);
Lipton story. Esencje krytyczne o sztuce pisarskiej Jacka Durskiego (2009).

Aktualnie Arkadiusz Frania skupia się w swojej twórczej pracy na prozie, jednak my przekornie publikujemy jego ostatnie wiersze.



* * *

wreszcie zrozumiałem ideę

w białej filiżance
do połowy wypełnionej kawą
tonie osa
oblepione cukrem skrzydła
ciągną na dno

spokojnie obserwuję
nie wpadam w panikę

wiem
że właśnie w tej chwili
chaos staje się porządkiem

jasność została raz na zawsze
oddzielona od ciemności

w oczach przechodzącej kelnerki
nie widzę zaniepokojenia

może podejrzewa mnie
o mistyfikację

to przecież nie pierwsza zapowiedź
końca świata
w tym roku

* * *

przepływa przeze mnie rzeka

urwiste brzegi
porośnięte ostami pokrzywami
dzikim mleczem

zwabione smakiem róży
kaczki
giną
splątane w ziele
duszą się własnym łakomstwem

dno skaliste nierówne groźne
wyłożone terakotą kolczastych kamieni
wody nie zdołały złagodzić
kształtów

słońce nie potrafi przeświecić
mętnej powierzchni
na której błakają się ważki
osy i nenufary

przepływa przeze mnie rzeka

bez źródła
bez morza

* * *

jeszcze tylko trzeba
przypomnieć sobie o
której odchodzi
pociąg

i nieważne pierwszy czy ostatni

liczy się że dokądkolwiek
albo lepiej
znikąd donikąd

bo właściwie nigdzie się nie wybieram
nigdzie nie chcę wyjechać

przecież rzeczy niespakowane
spodnie osobno koszula osobno
walizki niezapięte
lodówka nierozmrożona
woda mineralna na podróż niekupiona

myśli porzrucane
oczy rozbiegane
pokój zaczyna tracić orientację
firanki odstąpiły od okna
i zasłaniają futrynę
grzebień rozważa nie własne uzębienie
ale barwę snu żyrafy z obrazu dalego

„zmieniający się za szybą widok
jest przeciwieństwem ruchu”

pamiętam to zdanie
ktoś je wydobył z wnętrza puchnącej ziemi
jak cienką nitkę wody
dla spragnionego narodu

albo może sam je wymyśliłem
na wszelki ująłem w cudzysłów

jeszcze tylko trzeba
przypomnieć sobie o
której odchodzi
pociąg
żeby udało się na niego
nie zdążyć
na ostatnią chwilę
spóźnić się





* * *

nie lubię mówić
wolę pisać

odrysowuję
świat zatrzymany w próchniejącym
jak drewniany krzyż
albumie

kreślę za pomocą
znaków wyjętych z
prymitywnego pisma kręgowców

„człowiek”

widzę zgarbioną sylwetkę starca
czuję wyczyszczone wiatrem włosy młodych kobiet
słyszę rwany chód dziecka wracającego ze szkoły

„morze”

widzę wygładzone przed burzą zmarszczki fal
czuję niewypatroszone brzuchy łososi
słyszę stygnący dźwięk kutra

nie lubię mówić
wolę pisać

kropką i średnikiem
chcę przechrzyć śmierć

Miejsca, ludzie, wydarzenia

- pamięć o Armii Krajowej na Ziemi Częstochowskiej

Wzwiązku z ogłoszeniem przez Ministerstwo Edukacji Narodowej roku szkolnego 2009/2010 Rokiem Historii Najnowszej, Wydział Edukacji i Sportu, Wydział Kultury i Promocji Urzędu Miasta Częstochowy wraz z Samorządowym Ośrodkiem Doskonalenia i Muzeum Częstochowskim, zaprosił młodzież do udziału w projekcie edukacyjnym pod hasłem „Miejsca, ludzie, wydarzenia... Pamięć o Armii Krajowej na Ziemi Częstochowskiej”. Poniżej publikujemy prace nagrodzone w zorganizowanym w ramach projektu konkursie drugim i trzecim miejscem w kategorii praca literacka. Prace zostały zredagowane na potrzeby publikacji.

Rozkaz – odbić więźniów

- II nagroda w kategorii praca literacka

Weronika Bochenkiewicz

Szkoła Podstawowa z Oddziałami Integracyjnymi nr 53

Mój pradziadek Józef siedział w swoim ulubionym fotelu. Przed nim stała filiżanka gorącej herbaty. Spojrzał na mnie i zapytał ciepłym głosem:
- A czy opowiadałem ci już o tym, jak to w czterdziestym trzecim odbiliśmy z hitlerowskiego więzienia grupę zatrzymanych Polaków i Żydów?

Dziadek już nieraz opowiadał mi o tym, ale chciałem posłuchać jeszcze raz.

- Słyszałem już o tej historii, ale jest taka ciekawa, że z wielką chęcią posłucham jak opowiadasz.

Dziadek ciepło się do mnie uśmiechnął i zaczął mówić:

- Gdy wybuchła wojna Radomsko znalazło się w rejonie Generalnej Guberni. Ja z twoją prababcią i dziećmi mieszkałem we wsi Strzałkowo. Byłem od jesieni 1942 partyzantem Armii Krajowej. Przeprowadziliśmy wiele akcji dywersyjnych. Dzisiaj opowiem ci o jednej z nich...

Była ciepła sierpniowa noc 1943 roku. Ulice miasta były zupełnie puste. Ostrożnie zbliżając się w kierunku więzienia nie spotkaliśmy nawet jednego niemieckiego patrolu. Było nas, o ile dobrze pamiętam, piętnastu. Zabezpieczyliśmy naszymi ludźmi placówkę żandarmerii, siedzibę policji i jeszcze kilka budynków. Mieliśmy cywilne ubrania, jeden karabin maszynowy, trzy granaty i pistolet. Byliśmy więc bardzo słabo uzbrojeni, ale każdy z nas rwał się do walki.

Oddziałem dowodził Bronisław Skocznyński, pseudonim „Robotnik”. W mieście byliśmy już z pół godziny po północy. Jednak akcję rozpoczęliśmy na kilkanaście minut przed drugą.

Za Karolem, kolegą jeszcze z ławy szkolnej, bocznymi przejściami podążaliśmy grupą na wprost więzienia. Od wywiadowców wiedzieliśmy, że najprościej dostaniemy się do więzienia przez okno remizy strażackiej. Już z daleka dojrzałem, że w oknie jest żelazna krata.

- Wyłamaliście kraty? – zapytałam z wielką ciekawością, bo tej części opowieści nie pamiętałam.

- Nie! W mieście panowała zupełna cisza. Jakikolwiek hałas zwabiłby zaraz Niemców. Weszliśmy do środka pralni, która też graniczyła z więzieniem. W głębi budynku rozbiliśmy drzwi prowadzące do więzienia. Odgłosy łomu zwabiły trzech żandarmów. Weszli cicho do środka od tyłu więzienia. Zaskoczyliśmy ich. Oddaliśmy do nich kilkanaście strzałów. Widać były one celne i dalej, już bez przeszkód mogliśmy wyłamywać drzwi.

Gdy uporaliśmy się z tą przeszkodą i zajrzeliśmy do środka, naszym oczom ukazały się mizerne, ale uśmiechnięte twarze więźniów Polaków i Żydów. To była wielka radość, bo z rąk gestapo niewielu ludziom udało się wyswobodzić. Byli tam aresztanci polityczni. Wiedzieliśmy o nich, że zostali aresztowani przez Niemców kilka dni wcześniej w Rzejowicach. Uwolniliśmy też pięciu Żydów, którzy stali w jednej z cel tuż przy wejściu. „Niech Pan Bóg ma was zawsze w swojej opiece”, wyszepała do mnie wzruszony stary człowiek. „Bóg zapłać dziadku!”, odpowiedziałem.

„Robotnik” wydał rozkaz, aby kierować wyzwolonych w kierunku szpitala. Musieliśmy przejść obok willi gestapo. Stamtąd zobaczyli nas Niemcy. Zaczęli strzelać z broni maszynowej. Schowałem się za parkan. Obok mnie skulił się jeden z więź-



niów. Karol strzelał już w kierunku willi. Ubezpieczał nas też z broni maszynowej „Litwoch”. Gdy podeszliśmy do budynku szpitala, zobaczyliśmy czekające na nas wozy. Wtedy cofnąłem się w kierunku Karola. Kolega nie poznał mnie. Oddał strzał w moją stronę. Opowiadał później, że strzelał, bo sądził, że Niemcy go okrążają. Dobrze, że nic mi się nie stało, bo nie siedziałbym tu z tobą, moja prawnuczko.

Wskoczyliśmy jako ostatni do samochodów. Ledwie ruszyliśmy, a zaraz podążyła za nami pogoń. Światła niemieckich wozów jadących za nami mocno oświetlały ulicę. Aby utrudnić Niemcom pościg sam rozsypywałem z wozu na jezdnię takie haczykowate gwoździe. Bardzo nam pomogły w tej ucieczce. Jedno wojskowe auto ciężarowe wypełnione policją ochronną, które nas ścigało, złapało gumy. Skręciliśmy z głównej drogi do lasu i zaszliśmy się w nim. Gdy odczekaliśmy około pół godziny, ruszyliśmy w stronę Strzałkowa. Rankiem, gdy już byliśmy bezpieczni dowódca okręgowy policji ochronnej major Wienke zarządził przeszukanie lasu. Od tej pory Niemcy zaczęli bać się nas, obawiali się o bezpieczeństwo urzędów i władzy. Po latach, od pracowniczkę poczty dowiedziałem się, że sam Reichsführer SS Heinrich Himmler dzwonił do niemieckich władz Radomska zaniepokojony udaną akcją partyzantów Armii Krajowej.

- To znaczy, pradziadku, że nikt z partyzantów nie zginął w tej akcji?

- Tak. Mieliśmy szczęście, nie zawsze wychodziliśmy z takich potyczek bez szwanku. Popatrz na to pamiątkowe zdjęcie. To ja, to Karol, a to nasz dowódca „Robotnik”.

- Dziękuję. Bardzo lubię słuchać twoich opowieści, pradziadku.

- A ja lubię opowiadać, ale czy cię nie zanudzam? - pradziadek upił łyk herbaty z filiżanki. W jego oczach widziałam wzruszenie.

Wiem, że gdy przyjdę znów do pradziadka usłyszę równie ciekawą historię.

Rozmowa z Janem Miedziejewskim

- żołnierzem Armii Krajowej

- III nagroda w kategorii praca literacka

Monika Wieczorek

Zespół Szkół Mechaniczno-Elektrycznych

im. K. Pułaskiego

Armia Krajowa była największą organizacją podziemną podczas II Wojny Światowej. Przez jej szeregi przewinęło się około 300 tys. żołnierzy. Jednym z ludzi walczących w jej szeregach był Jan Miedziejewski, który jest od wielu lat zapraszany przez naszą szkołę na okolicznościowe uroczystości. Młodzież natomiast ma możliwość uczestniczenia w corocznych wyjazdach do miejsc walk Armii Krajowej, których pan Jan był uczestnikiem. Jan Miedziejewski jest obecnie prezesem Rady Kombatanów i Osób Represjonowanych, a także członkiem Światowego Związku Żołnierzy Armii Krajowej.

Jak wyglądały początki państwa podziemnego?

Jeszcze w 1939 roku powstawały liczne grupy konspiracyjne i partyzanckie, które walczyły z okupantem. Najpierw powstała Służba Zwycięstwu Polski, którą to założył generał Michał Tokarzewski. Potem została rozwiązana i powstał Związek Walki Zbrojnej, którego założycielami byli zawodowi żołnierze. Dopiero 14 lutego 1942 roku powołano Armię Krajową.

Co należało do jej głównych zadań?

Przede wszystkim trzeba było zorganizować ogólnokrajowe powstanie w Polsce i następnie przekazać władzę rządowi emigracyjnemu.

Kiedy nawiązał Pan kontakt z AK?

Jeśli dobrze pamiętam, to miałem wtedy 17 lat. Wziąłem wówczas udział w walce z Niemcami stoczonej na ziemi włoszczońskiej.

Czy mieliście jakieś specjalne wyposażenie?

Niestety nie. Nie mieliśmy praktycznie nic. Należałem wtedy do pierwszej kompanii batalionu „Las” 74. pułku piechoty Armii Krajowej. Był to bardzo ciężki okres. Nie mieliśmy broni ani też odzieży. Wszystko, co potrzebne trzeba było zdobyć w czasie walki. Broń, amunicję, a także żywność otrzymywaliśmy też dzięki tak zwanym zrzutom. Niestety nie każdy był udany. A na inne musieliśmy czekać nawet wiele tygodni. Czasami trzeba było ukraść broń policjantom lub kupić na „czarnym rynku”.

A jakie bitwy zapadły panu najbardziej w pamięć?

Hm... myślę, że na pewno taką bitwą była ostatnia, w której brałem udział, a mianowicie bitwa pod Wymysłowem. Stoczyliśmy ją pod koniec października w 1944 roku. Dostałem wtedy pozwolenie, aby pójść na kwatery i odpocząć dwa dni, ale nie zdążyłem nawet się położyć, kiedy to wpadł goniec z wiadomością, że muszę natychmiast zająć swoją placówkę. Dostaliśmy za zadanie bronić przejazdu. Widzieliśmy z ukrycia jak Niemcy podjechali i zniknęli w pobliskim lesie. Gdy tylko dostaliśmy rozkaz, zaczęliśmy ich ostrzeliwać. Zginęło ich wtedy około stu.

A czy brał Pan udział w akcji „Burza”?

Tak oczywiście. Pamiętam była to chyba największa nasza akcja. Dowodził nami wtedy Mieczysław Tarchalski, czyli „Marcin”

I co było dalej?

W styczniu 1945 roku AK została rozwiązana, wojna dobiegła końca a Niemcy skapitulowały. Dla wielu byłych żołnierzy AK okupacja tym razem sowiecka trwała nadal i wstępowali do różnych organizacji. Jeszcze w 1945 roku związałem się z grupą „Iskra Wolność”.

Jakie były jej cele?

Była to organizacja antykomunistyczna. Zajmowaliśmy się działalnością dywersyjną.

Czy to prawda, że został Pan aresztowany?

Tak, w kwietniu 1949 roku zostałem aresztowany wraz z innymi członkami „Iskra Wolność” przez Urząd Bezpieczeństwa Publicznego. W czerwcu 1949 roku udało mi się uciec wraz z kilkoma towarzyszami. Przez następne 6 lat musiałem się ukrywać. Byłem niewiele od was starszy a nie mogłem oficjalnie się uczyć ani pracować. Dopiero w grudniu 1955 roku mogłem rozpocząć normalne życie dzięki ogłoszonej amnestii. Przez kilkadziesiąt lat byłem leśniczym.

Czy nie ma Pan żalu do losu o tak smutną młodość?

Kocham Polskę i nie wyobrażam sobie, że mógłbym postąpić inaczej. Byłoby to na przekór mojej naturze. W końcu to nasza ojczyzna, nasza Matka. Kto o nią zadba, jak nie my sami...

Piękne słowa. Dziękuję za rozmowę.

Artystyczne inspiracje artysty warszawskiego Franciszka Kostrzewskiego Wyżyną Częstochowską

Anna Dylewska

We wrześniu 1881 r. na zaproszenie Edwarda i Marii z Krasińskich Raczyńskich w ich posiadłości w Potoku Złotym, w powiecie częstochowskim, przebywał sławny warszawski malarz, rysownik i ilustrator, Franciszek Kostrzewski. Niezwykle popularny, towarzyski i lubiany w środowisku artystycznym, ceniony przez odbiorców, gościł również u innych arystokratów m.in. u Sułkowskich w Rydzynie, u Augusta Kościelskiego w Karczynie, czy u Chłapowskich w Turwi.

Kostrzewski (1826-1911) należał do pierwszych absolwentów założonej w stolicy w roku 1844 Szkoły Sztuk Pięknych, gdzie studiował pod opieką znakomitych artystów i pedagogów m.in. Jana Feliksa Piwarskiego, Christiana Breslauera i Marcina Zaleskiego, którzy do programu nauczania wprowadzili tematykę rodzajową oraz krajobrazową uwzględniającą zajęcia w plenerze. W duchu romantycznej fascynacji przeszłością wychowankowie Szkoły, m.in. Wojciech Gerson, Julian Cegliński, Henryk Pillati, Adam Lerue, Józef Szermentowski, Adrian Głębocki, Franciszek Kostrzewski, odbywali artystyczne „piechotne wędrówki” po kraju, odkrywając „starożytny” zabytki architektury i kultury. Tematem ich realistycznie malowanych obrazów i rysunków stały się widoki wsi i miasteczek, malownicze ruiny zamków, pałace, dwory, kościoły.

W tym samym czasie zainteresowanie dziejowymi pomnikami Polski przekształciło się w planową inwentaryzację zabytków. Jej początki sięgają czasów Stanisława Augusta Poniatowskiego, na którego polecenie Zygmunt Vogel, uznany rysownik i ilustrator wykonał przedstawienia wybranych przez króla sławnych historycznych budowli i miejscowości, w tym również klasztoru jasnogórskiego; z roku 1787 pochodzi akwarela ukazująca zamek w Olsztynie, z 1807 - rysunek o tej tematyce. W roku 1806 Towarzystwo Przyjaciół Nauk w Warszawie sfinansowało pierwsze wydanie Zbioru widoków sławniejszych pamiątek narodowych jako to zwalisk, zamków, świątyń, nagrobków, starożytnych budowli, i miejsc pamiętnych w Polsce, z natury rysowany przez Zygmunta Vogla, a przez Jana Freya rytowany. Wydanie drugie z prospektem twierdzy jasnogórskiej ukazało się rok później. Przed połową XIX stulecia powołano natomiast „Delegację do opisywania zabytków starożytności w Królestwie Polskim”, którą w latach 1844-1855 kierował Kazimierz Stronczyński, badacz przeszłości, wy-

bitny mediewista, prekursor nauk pomocniczych historii. Prowadził badania terenowe dokumentujące zabytki ruchome i nieruchome, które następnie opublikował w kilkutomowym, cieszącym się dużym zainteresowaniem dziele Opisy i widoki zabytków w Królestwie Polskim, tzw. Albumach Stronczyńskiego, ilustrowanych m.in. przez Adama Lerue i Stanisława Teodora Chrzęńskiego. W tomie I z roku 1850 znalazły się widoki ruin zamków w Olsztynie, Mirowie i Bobolicach, wykonane przez Chrzęńskiego. A. Lerue w latach 1857-1859 wydał własny Album Lubelskie zawierający litografie według jego rysunków zabytków z guberni lubelskiej, planował również wydanie Albumu Wołynia, Podola i Ukrainy. Władze carskie skierowały go w 1862 do Częstochowy, do pracy w gimnazjum rządowym na etacie nauczyciela rysunku, gdzie w roku następnym zmarł. Powodzenie zyskała także publikacja Napoleona Ordy Album widoków historycznych Polski, wydawana w kilku seriach w latach 1873-1883; w Serii VII obejmującej Królestwo Polskie znalazł się klasztor na Jasnej Górze oraz m.in. również zamki w Olsztynie, Mirowie i Bobolicach. Wspomniany Adrian Głębocki, który w roku 1863 po Adamie Lerue objął etat nauczyciela rysunków w częstochowskim gimnazjum i pracował tu dziesięć lat, przygotował album poświęco-

ny zabytkom Jasnej Góry. Głębocki był również autorem wielu prac o charakterze inwentaryzacyjnym z regionu częstochowskiego. W 1876 r. dwaj pedagodzy tegoż gimnazjum, literat i sławista Bronisław Grabowski oraz artysta malarz Władysław Dmochowski, wydali album *Widoki Częstochowy i Jasnej Góry*. W roku 1896 prasa zapowiedziała publikację albumu *Pamiętka z Jasnej Góry w Częstochowie* warszawskiego rysownika i malarza Ludomira Dymitrowicza.

Obok wydawnictw albumowych rysunki - a właściwie wykonane na ich podstawie drzeworyty - przedstawiające zarówno sławne, jak i zapomniane zabytki polskiej architektury i sztuki, pomniki historii i przyrody, ukazywały się w prasie warszawskiej, np. *Tygodniku Ilustrowanym*, *Kłosach*, czy późniejszej *Biesiadzie Literackiej*, jako ilustracje do artykułów przybliżających czytelnikom piękno i dzieje ojczystego kraju. Materiał ilustracyjny dostarczało wielu artystów, m.in. Bronisław Podbielski, Wojciech Gerson, Władysław Walkiewicz, Julian

Cieszkowski, Ludomir Dymitrowicz, Erazm Fabijański, Franciszek Wastkowski, Władysław Szerner, Józef Polkowski, Julian Cegliński, Adrian Głębocki, Franciszek Kostrzewski. Kostrzewski np. w roku 1860 dla *Tygodnika Ilustrowanego* przygotował rysunki kościoła i klasztoru benedyktynów na Świętym Krzyżu, kościoła i klasztoru benedyktynek w Sandomierzu, kościoła i klasztoru poddominikańskiego fundacji Potockich w Latyczowie. Badania na temat ilustracji (w tym zabytków architektury i sztuki) w dziewiętnastowiecznej prasie polskiej prowadzili m.in. Ludwik Grajewski i Alicja Rudniewska, ikonografią zabytków Częstochowy i okolic zajmowała się Jadwiga Borowska-Antoniewicz i Aleksander Jaśkiewicz.

Wkrótce po ukończeniu Szkoły w roku 1850 Kostrzewski dał się poznać jako twórca malowanych realistycznie obrazów przedstawiających miejskie i wiejskie sceny rodzajowe, krajobrazy z motywem kapliczek przy polnych drogach, leśne krajobrazy często z udziałem postaci ludzi i zwierząt. Jego wy-

konane na blasze w latach pięćdziesiątych obrazy - m.in. *Cyrk na Saskiej Kępie*, *Ogród Saski*, *Widok Wiślicy od rynku - zdobyły statki wycieczkowe pływające po Wiśle*. Popularność przyniosły mu też inne, zwykle niewielkich rozmiarów obrazy (oleje i akwarele), np. *Powrót z jarmarku*, *Pożar miasteczka*, *Pożar wsi*, *Odpust na wsi*, *Przed burzą*, czy *Wędrowni muzykanci*. Stworzył też wiele rysunków o tematyce krajoobrazowej, rodzajowej, satyrycznej oraz portretów. Oprócz prasowej parał się też ilustracją książkową. Udzielał prywatnych lekcji rysunku w zamożnych domach mieszczańskich i arystokracji w Warszawie, w roku 1868 został nauczycielem w Szkole Rysunku i Malarstwa Marii Łubieńskiej.

Pobył Kostrzewskiego w Złotym Potoku w 1881 r. miał charakter przede wszystkim artystyczny, podobnie jak wcześniejsze podróże po wyżynie krakowsko-częstochowskiej, krainie zamków i pięknych krajobrazów. W roku 1861 dla *Tygodnika Ilustrowanego* powstał rysunek ukazujący ruiny zamku w Bobolicach, w 1863 - rysunki zamku w Mirowie i Olsztynie. W jego twórczości pojawiła się również tematyka związana z jasnogórskim sanktuarium maryjnym. W 1880 r. Kostrzewski wykonał akwarelę zatytułowaną *Pielgrzymka na Jasną Górę* (w zbiorach Muzeum Okręgowego w Radomiu), przedstawiającą grupę pątników odpoczywających przy leśnym dukcie.

Pałac w Potoku pochodzący z XVII wieku, przebudowany w wieku XVIII, w połowie XIX stulecia kupił dla swojego syna, poety Zygmunta i jego żony, Elżbiety Elizy z Branickich, generał Wincenty Krasiński, m.in. z powodu nadzwyczaj urokliwych okolic. Ich wyjątkowe walory krajoobrazowe docenił już siedemnastowieczny historyk, kanonik

krakowski Szymon Starowolski, który w dziele z roku 1632 p.t. *Polonia* albo opisanie Królestwa Polskiego informował o „przepięknym położeniu zamku w Potoku”, własności hetmana Jana Koniecpolskiego. Trzy wieki później wyżyna jurajska stała się obiektem badań różnych dyscyplin naukowych, a w roku 1854 pod kierunkiem entomologa profesora Antoniego Wagi zorganizowano wyprawę tzw. naturalistów, z udziałem wspomnianego wyżej historyka i archeologa Kazimierza Stronczyńskiego, których w Potoku gościł hrabia Wincenty Krasiński.

W roku 1881, kiedy w Potoku Złotym przebywał Franciszek Kostrzewski, majątek należał do Marii Beatrix, córki Elizy i Zygmunta Krasińskich, od roku 1877 żony Edwarda Aleksandra Raczyńskiego. W rezydencji, obok innych obrazów znajdowały dwa płótna Kostrzewskiego, które Maria wraz z całym wyposażeniem przywozła ze sobą z Warszawy. Obrazy kupił w roku 1860 na wystawie Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych w Warszawie

Ludwik Krasiński, drugi mąż Elizy Branickiej. Można przypuszczać, że kilka prac Kostrzewskiego wykonanych we wrześniu 1881 r. pozostało w pałacu.

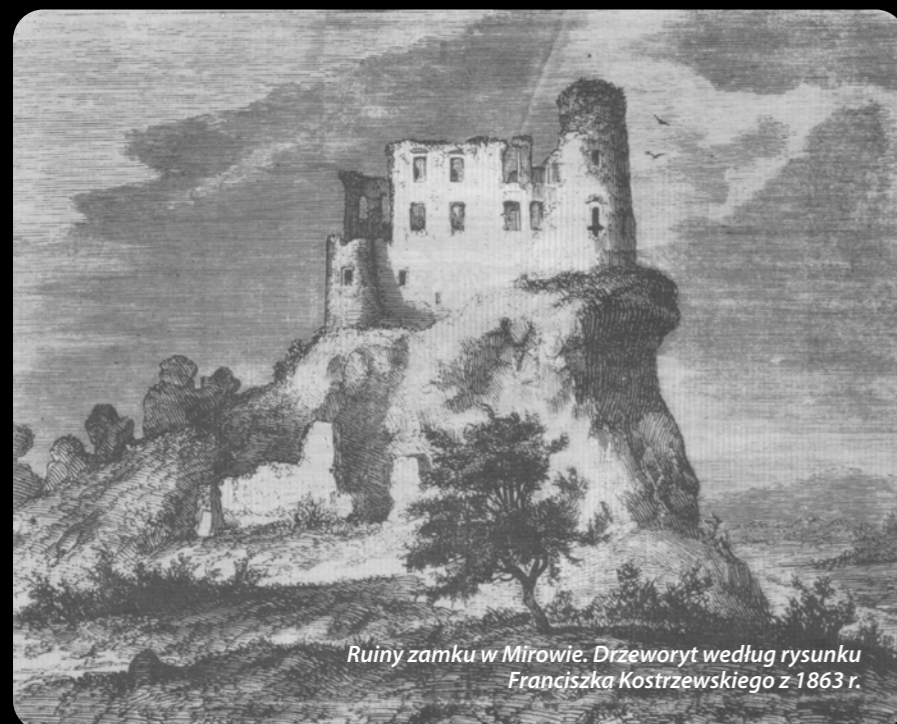
Korzystając z okazji Kostrzewski wybrał się zapewne do klasztoru na Jasnej Górze. Być może w Częstochowie odwiedził Mateusza Mączyńskiego, absolwenta warszawskiej Szkoły Sztuk Pięknych z roku 1860. Mateusz znalazł się w grupie studentów sportretowanych przez Marcina Zaleskiego, nauczyciela perspektywy w warszawskiej uczelni, uznanego malarza wedy i wnętrz architektonicznych, na obrazie *Wnętrze Szkoły Sztuk Pięknych w Warszawie* z roku 1858 (w zbiorach Muzeum Narodowego w Warszawie). Mączyński w czasie studiów miał kontakty z artystami skupionymi wokół Marcina Olszyńskiego, tzw. warszawską „cyganerią” malarską, w której ważną rolę odgrywał Kostrzewski. Niewykluczone, że w Częstochowie Kostrzewski poznał - co mogło zaowocować zakupem jego obrazu - Juliana Fuchsa, przedstawiciela tutejszej

elity finansowej i intelektualnej, mecenasa, znawcę i kolekcjonera sztuki. J. Fuchs zorganizował w Częstochowie w roku 1882 pierwszą publiczną wystawę sztuki, na której pokazano obrazy z kolekcji zamożnego mieszczaństwa, a w roku 1889 przyczynił się do otwarcia ruchomej, sprzedażnej wystawy obrazów i rzeźb i sztuki stosowanej przygotowanej przez warszawski Salon Artystyczny.

Do zadowolonego w Potoku Kostrzewskiego przyjechał jego dawny kolega Faustyn Świdorski, właściciel majątku w nieodległym Mzurowie. Oprócz zarządzania majątkiem Świdorski parał się piórem, układając wiersze, opowiadania i humoreski, których zbiór pt. *Pisma humorystyczne* ukazał się w dwóch zeszytach w latach 1883-1888 nakładem Juliana Fuchsa.

Wokół wsi Mzurów położonej na wzgórzu, którego najwyższy punkt wznosi się na wysokość ponad 380 m. rozciągają się pejzaże typowe dla wyżyny jurajskiej, z łąkami i lasami urozmaiconymi wąwozami i wapiennymi skałkami. Wieś należała do parafii Niegowa, gdzie zachował się gotycki kościół parafialny. Franciszek Kostrzewski który niebawem złożył przyjacielowi rewizytę, zachwycił się i widokami i jego wiekowym, malowniczym dworem. Przyjaciele kontynuowali rozpoczęte w Potoku wspomnienia, rozmawiając również m.in. o pięknie natury, sztuce, polityce, wychowaniu młodego pokolenia. Dzisiaj we wsi Mzurów po dawnej siedzibie Świdorskich, poza starymi budynkami gospodarczymi, pozostała tylko nazwa Stary Dwór.

Na kolejne pogawędki umówiono się w plenerze, pod skałą zwaną Bramą Twardowskiego, jedną z tutejszych ciekawostek krajoobrazowych. Spotkanie to Świdorski żartobliwie nazwał „naradą humorystów”. Stało się ono powodem



Ruiny zamku w Mirowie. Drzeworyt według rysunku Franciszka Kostrzewskiego z 1863 r.



Widok na klasztor i kościół w Lelowie. Drzeworyt wykonany na podstawie rysunku Bolesława Olszewskiego z 1876 r.



do ułożenia „ramoty humorystycznej” zatytułowanej Dyjabeł Boruta w Potoku Złotym w r. 1881. opublikowanej w 1882 r. w Tygodniu Piotrkowskim. Utwór opisuje siedzibę Świderskiego i jego codzienne życie, którego monotonię miała urozmaicać praca twórcza, literacka. Atrakcją stał się więc przyjazd Kostrzewskiego, znanego twórcy rysunków satyrycznych, z którego działalnością w pewien sposób się utożsamiał. Przyjaciele urządzili postój pod skałą mistrza Twardowskiego, zajmując się trunkami przywiezionymi przez gospodarza i posiłkiem przygotowanym przez jego żonę, bawiąc się rozmową i wzajemnym towarzystwem. W trakcie suto zakrapianej biesiady ujrzeli Borutę. Autor posługując się jego postacią napomina ówczesnych, żyjących pod zaborami czytelników, aby doceniali rolę tradycyjnych wartości szlacheckich i narodowych - patriotyzm, miłość i szacunek do własnej ziemi i historii. Porusza również znaczenie sztuki, ubolewając nad niskim poziomem dewocyjnego malarstwa częstochowskiego. Ważnym przesłaniem jego „ramoty humorystycznej” jest postulat nie tylko dla Kostrzewskiego, ale również dla innych artystów o kształcenie gustu artystycznego ludu.

Ta staroświecka, sympatyczna opowieść humorystyczna nam, współczesnym czytelnikom, nie tylko przybliżyła obyczaje i problemy dziewiętnastowiecznych mieszkańców Wyżyny Częstochowskiej, ale także przypomina osobę jej autora oraz zapomniany epizod z życia i twórczości sławnego warszawskiego artysty Franciszka Kostrzewskiego.

Dyjabeł Boruta w Potoku Złotym w r. 1881 Ramota humorystyczna przez Ex-Bociana

[fragment]

Wstęp

*Jest wioska Mzurów - na wysokiej górze,
Wzniosłej nad morze pięćset łokci blisko;
Są tam przepaście, siwe skały duże,
A stary Bocian, ma tam swe siedlisko -
Klekocze z gniazda, aby was zabawić,
Raczej więc słuchać, co wam będzie prawić.*

*Siedzieć samemu jak Singelton w wiście,
Toć się i sprykrzy mości dobrodzieju,
Braknie konceptu bardzo oczywiście,
W głowiznie sensu, werwy i oleju -
Jak się człowiek znudzi, zmęczy kapitalnie,
Pisząc gawędy, często głupstwo palnie.*

*Gdym sobie siedział, jak w klasztorze mniszek,
W cichej siedzibie, w wrześniu w zeszłym roku
Głoszą, że przybył **Kostrzewski Franciszek**,
Zwiedzić cudowne widoki w Potoku;
Zatem, od święta stary żupan kładę,
Wykręcąc wąsy i z wizytą jadę.*

*Święta miłości! przyjacielska stara!
Tobie człek z chęcią daje serca bicie,
Dla ciebie miła największa ofiara,
Ty goisz rany i osładzasz życie -
Ty nas pocieszasz w troskach i kłopotach,
Ty nas umacniasz w staropolskich cnotach.*

*Szanowne muzy! Dziedziczki parnasu!
Z panem Franciszkiem jedno mamy pole,
Na co stworzeni, nie tracimy czasu,
On wciąż rysuje, a ja znów gryzmołę.
Zatem pomóżcie, bądźcie tak łaskawe,
Ażeby z werwą przedstawił swą sprawę.*

Przemysław Kossakowski
„Polskie lumpy kielnają
agresywnego ssaka”
akryl, płótno



ALEJES

Przemysław Kossakowski
„Płytki pioniera”
akryl, płótno



Kossakowski '10